

**TYGODNIK
ŁÓDZKI**
Rok IV. Nr 12 (160)
Łódź, 26-III.
1961 r.
cena
1 zł

odgłosy

JERZY PILICHOWSKI

LUSTRO TEMIDY

reportaż z piotrkowskiego grodu

Nikt tu nie wpada na chwilę. W świątyni Temidy w Piotrkowie Trybunalskim liczy się tylko czas sędziów, prokuratorów, adwokatów. Kłęby papierosowego dymu wiszą u sufitów ogromnych korytarzy.

Ludzie siedzą cierpliwie na elemnych ławach, skubią palcami bochny miejskiego chleba, umieszczone w koblakach; żują powoli wielkie, świeże kęsy; na salach sądowych tego robić nie wolno. Trzeba również pilnować by podnieść się gdy „Sąd idzie”, milczeć gdy „rozprawa trwa”, lub odczytywane są wyroki i orzeczenia.

Kto nie wytrzyma uroczystego misterium atmosfery sali sądowej, a nie ma na przegubach dłoni kajdanek, lub przy boku milicjanta — może wyjść ulżyć sobie na korytarzu. Tutaj dopiero rozwijają się języki i sypią komentarze.

Na widok ostrzyżonego wieźnia: — „patrz pani taki

młodziutki i już go prowa-
dzą...”

— „Dobrze, dobrze, ja bym takiego chuligana w kajdany kawał zakuć! Znam go dobrze, na ulicy ludzi rabował. Patrzcie jak! to teraz spokojny...”

Na widok przechodzącego sędziego: — „Ten „struś“ wlepił dziś mojemu „kumpłowi” z „Hortensji” pół roku!

Adwokat, przyklepieni do swoich klientów udzielają im ostatniego „błogosławieństwa”: pocieszają, zbierają słowa uznania za mowy godne niekiedy starożytnych mistrzów.

„Pan tak ładnie mówił, panie mecenasie. Aż sam uwierzyłem, że nie „puściłem” tej forszy na baby...”

— Niech pan mówi, że mnie nie zna, bo ja tak zeznałam szeptem konspiracyjnie do ucha starszego jegomościa młoda kobieta, zwłazana ze sprawą „man-cową”.

— Stary sknera rozwałił

małżeństwo. Jak Boga kocham widziałam rachunki, które jej wystawiał za wypalone drzewa, zużyty prąd przy czytaniu wieczorem książek...

Starszy mężczyzna, ścigany spojrzem zainteresowanych umyka, ale tylko parę kroków dalej. Znow przystaje, nie przestając wymyślać kobiecie, której parę lat temu wyznawał miłość...

Stojący najbliżej obcy krąg ludzki nie reaguje na jedyną replikę żony, choć ta godna jest si nnej z „pyskowania” Guliety Maszyny.

Nikt tu na nic nie reaguje, niczemu nie dziwi się 6.500 spraw, rocznie to 6.500 głó-

Dalszy ciąg
na str. 4



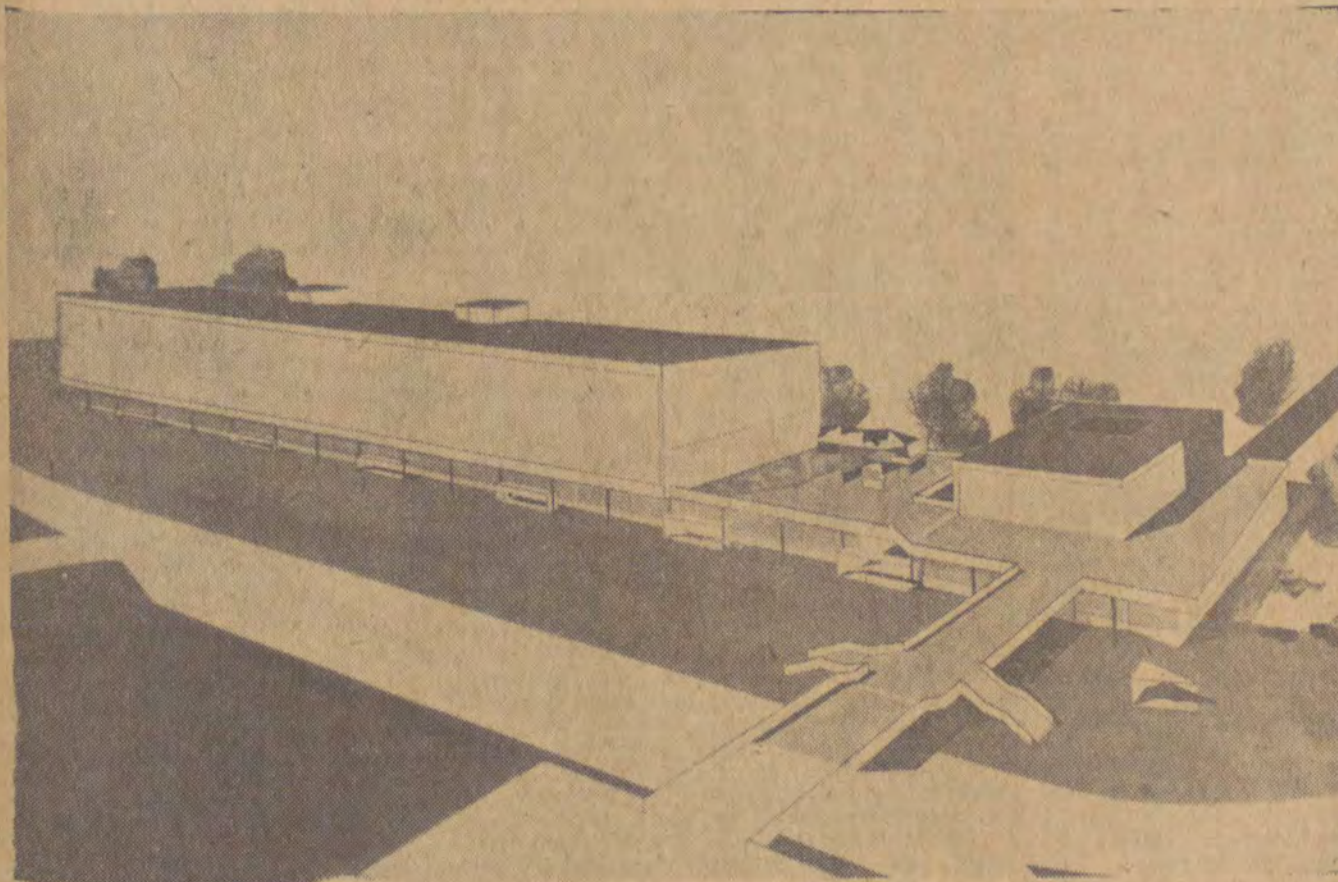
Uwaga brutale!

Robot wyprodukowany przez firmę Hughes Aircraft Co., potrafi pracować nie tylko przy urządzeniach radioaktywnych. W przyszłości, jak przewidują jego konstruktorzy, będzie zatrudniany na dnie oceanu lub na powierzchni Księżyca. Na razie, w czasie godzin wolnych od pracy, robot prezentuje swe umiejętności, rozpinając zamek błyskawiczny przy sukience aktorki filmowej Carol Christensen. I robi to — jak twierdzi delikwentka — niezwykle delikatnie.

KRZYSZTOF POGORZELEC

Przed wyborami do rad

WIELKA PRZEPROWADZKA CITY



Tak będzie wyglądał „ultragpedet” przy Placu Niepodległości.

Łódź? — Aha to Piotrkowska i reszta domów, które się przy tej ulicy nie zmieścily.

Niestety, jest w tym powiedzonku, które pozwoliłem sobie użyć jako motto do tego artykułu jakaś szczypta prawdy. Uderzmy się w piersi: czyż to nie my powszechnie wyznajemy zasadę, że wszystkie szatki co bardziej świąteczne albo i też nie koniecznie świąteczne trzeba kupować w sklepach położonych na „Pietrynie”? Co tam zresztą ubiory! Choroba „Piotrkowskiej” rozciąga się również na inne sfery codziennych zainteresowań przeciętnego łodzianina.

Fakt pozostaje faktem. Jeżeli idziemy z sympatią, to znaczy nie koniecznie swoją żonę do kawiarni — to najlepiej gdzieś przy ul. Piotrkowskiej, popołudniowy niedzielny „deptak” odbywa się — także tu, z tą tylko różnicą, że na specjalnie uświęconym wieletoletnią tradycją odcinku pomiędzy ulicą Tuwima i Narutowicza. I tak jest właściwie prawie

ze wszystkim. Jeśli po cytirny — to najlepiej do „Delikatesów” w pobliżu ul. Andrzeja, najlepsze cukierki „Wedla” znajdziesz w sklepie mieszczącym się obok „Polonii”, podobnie jest z rzekomo największym w Polsce i najlepiej — nie licząc oczywiście „cluchów” w Nowym Targu — zaopatrzone w importowane „szpileczki” salonem obuwniczym. Podobnie z tuzinem innych instytucji oraz przedsiębiorstw handlowych w rodzaju „gal-

Dalszy ciąg
na str.

6



JACEK LEBEN

Co z atomową ciszą?

Przedwczoraj po dłuższej przerwie wznowione zostały Genewie obrady przedstawicieli trzech atomowych mocarstw: Związku Radzieckiego, Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii. Od wyników obrad zależy jedna z najważniejszych decyzji współczesności. Albo trwająca od 2,5 roku atomowa cisza usankcjonowana zostanie porozumieniem o kontrolowanym przetrwaniu doświadczeń z bronią termojądrową, albo też w różnych punktach naszego globu wykwitnąć będą atomowe grzyby zatrzymujące w sensie dosłownym i przenośnym ziemską atmosferę.

Po raz ostatni grzyby atomowe wykwitły nad kulą ziemską w październiku 1958 roku. Piszę o trzech wielkich atomowych mocarstwach, bowiem rząd francuski w czasie trwania atomowej ciszy przeprowadził trzy doświadczenia z mechanizmami termojądrowymi, niewielkiej mocy na swoim poligonie doświadczalnym w Reggane na Saharze.

Pierwszy doświadczenia przetrwał Związek Radziecki i z jego też inicjatywy została zwolana konferencja w Genewie. Zresztą również z inicjatywy rządu radzieckiego została zwolana poprzedzająca konferencja polityczna konferencja ekspertów, którzy ustalili możliwość kontrolowania próbnych wybuchów z bronią termojądrową. Stwierdzenie komisji, że usytuowanie w świecie 184 stałych punktów kontrolnych pozwoli na wykrycie wszelkich ewentualnych wybuchów, nie było wygodne dla zimnowojennych rzeszników kontynuowania wysiłku atomowego.

Ponad dwa lata trwały genewskie rokowania. W czasie ich trwania uzgodniono ponad 35 stół wspólnego komunikatu. Trudno nazwać to błyskawicznym tempem. Przedstawiciele Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii operowali często tradycyjną taktyką Zachodu. Wyszukiwali rozmaite propozycje, kiedy zaś Związek Radziecki przetrwał do nich jakieś kompromisowe pomosty, zbliżał się do tych propozycji, wówczas mocarstwa zachodnie wycofywały się z tarzę dziesiątków i setek dalszych zastrzeżeń.

Niemniej osiągnięto zbliżenie w wielu spornych kwestiach. Można się chyba wyrazić, że zostały zbudowane fundamenty pod gmach ewentualnego porozumienia.

Problem eksplozji nuklearnych był jednym z kluczowych problemów amerykańskiej kampanii wyborczej. Richard Nixon zajął w tej kwestii nad wyraz wojownicze stanowisko. Oświadczył on, że jeżeli zostanie prezydentem, to wyznaczy określony termin zakończenia rokowań. Gdyby zaś w tym wyznaczonym przez niego terminie porozumienie nie zostało podpisane, to Stany Zjednoczone wznowią doświadczenia z bronią termojądrową.

Stanowisko Kennedy'ego było bardziej realistyczne i ugodowe. Nie wyznaczył on żadnego terminu na zakończenie rokowań, nie opowiedział się za wznowieniem doświadczeń z bronią nuklearną, a po objęciu władzy w Białym Domu zwrócił się do swoich genewskich partnerów — rządów Związku Radzieckiego i Wielkiej Brytanii, by odrzucić o półtora miesiąca termin rozpoczęcia rokowań i dać mu możliwość opracowania nowego amerykańskiego podejścia w tej kwestii. Wszystko to dało podstawy do określonego optymizmu.

Nie można jednak nie dostrzec dwóch rzeczy: po pierwsze, John Kennedy znajduje się pod niezwykle silnym naciskiem kół wojskowych żądających wznowienia doświadczeń choćby tylko pod ziemią lub w przesłaniach ponadatmosferycznych. Podobno wszyscy, i niekiedy amerykańskiej Komisji Energii Atomowej opowiadają się za wznowieniem doświadczeń. Po drugie, elastyczność Kennedy'ego może być podkopywana względami przede wszystkim taktycznymi. Przecież przetrwanie atomowej ciszy przez Stany Zjednoczone byłoby krokiem niepopularnym w świecie i od razu zaważyłoby w dużym stopniu na nadziejach związanych z prezydenturą Kennedy'ego.

W tej chwili rzesznicy amerykańscy wykazują optymizm. Po przybyciu do Genewy przedstawiciel USA Dean oświadczył, że delegacja USA gotowa jest rozważyć „wszelkie realistyczne i słuszne propozycje” Związku Radzieckiego i dodał, że ma zamiar prowadzić rokowania w duchu „realistycznego optymizmu”. Gdy zapytano Deana czy przewiduje jakąś granicę czasu dla toczących się od 2,5 lat rokowań, odrzekł: „Staramy się doprowadzić do porozumienia i nie mogę powiedzieć, jak długo to potrwa”. Ten optymizm wyrażany przez oficjalne kółka USA jest zrozumiały. Należy przekonać opinię publiczną świata o dobrej woli rządu amerykańskiego co ma szczególne znaczenie przy ewentualnym niepowodzeniu rozmów.

Stanowisko rządu polskiego w omawianej kwestii jest zupełnie oczywiste i absolutnie zgodne z opinią publiczną naszego kraju. Jesteśmy za przetrwaniem doświadczeń z bronią termojądrową, uważając, że byłby to krok hamujący wysiłek zbrojeń atomowych w ogóle, a poza tym polepszający atmosferę międzynarodową, stwarzający możliwość do dalszych negocjacji.

Sens naszych własnych koncepcji rozbrojenowych zawarty zarówno w propozycjach zwanych „Planem Rapackiego” jak i w propozycjach zawartych w znanym wielkim przemówieniu Władysława Gomułki na XV sesji ONZ sprowadza się przecież do zahamowania wysiłku atomowych zbrojeń. Chodzi o to, by stworzyć sytuację nie pozwalającą na dalsze pogarszanie się atmosfery międzynarodowej. Zmniejszyć niebezpieczeństwa przypadkowej wojny. Przerwać zamknięty krąg strachu nieufności i wysiłku zbrojeń — oto nakaz chwili.

GŁOS W DYSKUSJI · GŁOS W DYSKUSJI · GŁOS W DYSKUSJI

ZBIGNIEW SIEMINSKI

Głosy kuratorów — Woźniakowski i Sassa w dyskusji „Obyśmy wspólnie odetchnęli” poruszyły cały szereg ciekawych i ważnych zagadnień. Ale dotychczas dyskusja wychodziła poza ramy samej szkoły, akcentując takie problemy — jak szkoła i dom, zachowanie się młodzieży itp. Mój głos pozornie odbiega od tenoru wypowiedzi poprzednich dyskusyj. Chcę zwrócić uwagę na pewne niedociągnięcia (i nie wszystkie) w organizacji samej szkoły, które niewątpliwie znajdują swoje odbicie w postawie młodzieży. Czy szkoła przygotowuje należycie młodzież do życia? Czy nie nasuwają się tutaj pewne wątpliwości?

* * *

Jednym z najważniejszych zadań wychowawczych szkoły jest przygotowanie młodzieży do pracy, do samodzielnego życia. Szkoła uczy i życie uczy — to prawdy oczywiste. Dotychczas między tymi dwoma rodzajami nauczania istniała dość rażąca rozbieżność. W takiej sytuacji nawet uczniowie wynoszący ze szkoły duży zasób wartości ideowo-moralnych, mogli te wartości szybko wytracić w zetknięciu z trudnościami, jakie napotykali w życiu.

Życie nie szczędziło i nie szczędzi trudności szczególnie tym absolwentom liceów ogólnokształcących, dla których brak miejsca w wyższych uczelniach. Czekają na nich wprawdzie szkoły pielęgniarstwa, studia nauczycielskie i rozmaite dwuletnie techniki. Rzeczywistość wykazuje jednak, że tego typu szkół jest za mało. W samej Łodzi kilkuset maturzystów pozostaje co roku „na lodzie” — nie podejmują oni dalszej nauki ani nie przystępują do pracy zarobkowej. W 1958 r. zanotowano w Łodzi ok. 300 takich maturzystów, a Łódź nie może być pod tym względem miastem typowym, bo w tymże roku z 1,935 maturzystów łódzkich aż 1,321 uplasowało się w wyższych uczelniach, podczas gdy w skali krajowej tylko ok. 50 proc. maturzystów dostaje się na studia.

Niemala więc armia młodych ludzi gorączkowo szuka dla siebie miejsca w życiu. Znalazienie go sprawia ludziom bez zawodu nie lada trudności. Przy tym szukają oni pracy „czystej”, unikając pracy fizycznej. Można ich z tego powodu pościć, ale gdy się poświeciło te cztery lata trudom nauki, to chyba nie po to, aby zostać w końcu robotnikiem niewykwalifikowanym.

A młodzież chce się uczyć zawodu. Klasy ósme liceów ogólnokształcących nazywane są przechodniakami, bagażem, ponieważ przesiadują w nich ci absolwenci szkół podstawowych, dla których zabrakło miejsca w szkołach zawodowych. Zatem rozczarowań doznają nie tylko maturzyści, a nie ulega chyba wątpliwości, że tego rodzaju rozczarowania mogą poważnie osłabić wartość ideowo-moralną wyniesioną przez uczniów ze szkoły. Charakterystycznym współczesną młodzieżą używa się przecież tak często określenia „cyniczna”.

Dlatego też, aby wychowanie szkolne było wychowaniem perspektywicznym, a by uczniowie przygotowali do życiowych niespodzianek, a by więc szkoły z życiem naprawdę zacieśniły, należy zaktualizować interpretację takich utworów jak „Antek” i „Janko Muzykant” — więcej mówić o potrzebach ekonomicznych naszego kraju na lekcjach poświęconych sprawom wyboru za-

wodu i w pełni wykorzystywać ogromne możliwości wychowawcze, które wnoszą do szkół politechniczniacy nauczyciela.

Obecny rok szkolny jest pierwszym rokiem „politechniczniacym”. Początki bywają zwykle trudne. Początkom politechniczniacy war to jednak poświęcić trochę uwagi choćby dlatego, że nie mogą one posłużyć za przykład akcji zorganizowanej, a przyszłością im doniosły cel wychowawczy.

Przesadne byłoby powiedzenie, że rozpoczynano z pustymi rękoma. Brakło nawet pustych rąk, które symbolizują tutaj nauczycieli pracy ręcznej. Łódzkie licea ogólnokształcące nie odczuły tego braku. Przejeły one absolwentów miejscowego Studium Nauczycielskiego. W sytuacji o całej piekło gorzej znalazły się licea województwa, gdzie na 40 liceów jest tylko 8 wykwa-

moterstwo! Narzędzia i maszyny przekazywały szkołom zakłady opiekuńcze. Co sprytniejsi dyrektorzy i kierownicy szkół wykorzystali przy tym wszystkie rodzinne więzi. Ten i ów z uczniów ma przecież ojca na poważniejszym stanowisku w jakimś zakładzie pracy. W wyniku rozmów z takimi ojcami zjawiały się w szkołach najrozmaitsze narzędzia i maszyny.

Jednakże chwalebne tym razem wpływy kumoterstwa objęły tylko część szkół. Sytuacja jest taka, że niektóre szkoły posiadają bogato wyposażone warsztaty, a inne nie mają nawet jednego ucziwego młotka. „Każe nam uczyć dzieci sztuki wbijania gwoździ bez młotka” — takie słowa słyszy się często wśród nauczycieli zdenerwowanych brakiem narzędzi.

Trochę kłopotów jest też z praktykami produkcyjnymi

Nie brak, co prawda, szkół, w których politechniczniacy dają już efektywne wyniki. Są to przede wszystkim te licea i szkoły pod stawowe, które mają pracowników i nauczycieli specjalistów. Uczniowie na godzinach pracy ręcznej wykonują tam mnóstwo estetycznych przedmiotów użytkowych i dekoracyjnych. Widziałem szafy pełne efektownych maskotek, kukiełek, zwierzątek z pluszu, noży do papieru czy nawet guzików, barwnych talerzy, wazonów i popielniczek o ciekawych kształtach, które zaspokoiłyby apetyt niejednego zwolennika nowoczesnej sztuki użytkowej.

Mala dygresja. Należałoby chyba pomyśleć o formach sprzedaży tych rzeczy. Wróciłyby chociaż częściowo pieniądze wydane na kupno materiału. A może nawet byłby jakiś dochód.

Dziewczęta uczą się: kroju i szycia, chociaż jeszcze w wielu szkołach szyją ręcznie, chłopcy prostszych napraw aparatów radiowych, telewizorów, pralek, odkurzaczy i sprzętów domowych. Jedne i drugie zdobywają wiadomości z zakresu gospodarstwa domowego (w przyszłości żony będą na pewno zadowolone z takich mężów), w kółkach zainteresowań technicznych rozwijają swoje zainteresowania w zakresie elektrotechniki, mechaniki i motoryzacji, fotografii i modelarstwa.

Wszystko to ma duże wartości wychowawcze i będzie bardzo przydatne w życiu, ale raczej do prywatnego użytku. Sądzę, że politechniczniacy powinni sięgać dalej. Chodzi o maturzystów nie dostających się na studia.

W klasach ósmych liceów ogólnokształcących ok. 10 proc. stanowią uczniowie, dla których zabrakło miejsc w szkołach zawodowych i technicznych. Z uchwały VII Plenum KC wynika, że do roku 1965 ilość przyzakładowych szkół zawodowych wzrośnie ze 189 do 600. Zmniejszy to zapewne z czasem liczbę tych maturzystów, których nie mogą przyjąć wyższe uczelnie, ale nie rozstrzygnie tego problemu definitywnie. Trzeba przecież pamiętać o maturzystach skreślonych z listy studentów.

Obecny zakres politechniczniacji da tym maturzystom co najwyżej jakąś orientację przy wyborze zawodu. Ta orientacja też się przyda w chwili, gdy zamiar studiowania spełznie na niczym, ale to mało. Aby maturzystów naprawdę lepiej przygotować do życia, trzeba ich wyposażać w minimum umiejętności praktycznych, pozwalających rozpocząć pracę zawodową. W tym celu należałoby praktyki produkcyjne bardziej uzależnić od warunków. W odniesieniu do politechniczniacji sprawa ta prezentuje się zupełnie inaczej, ale wcale nie lepiej. Postawione przed nauczycielami jednakowe wymagania, nie biorąc pod uwagę ich kwalifikacji i warunków w jakich przysię im pracować. Nie wpłynęło to dodatnio na sprawność wychowawczą wielu szkół.

Sytuacja wymaga rozsadnej weryfikacji nauczycieli pracy ręcznej; zorganizowania międzyszkolnej rozdzielni materiałów takich jak brystol, tektura, odpady z zakładów pracy i najrozmaitsze półfabrykaty; przydzielenia szkołom odpowiednich sum pieniężnych na zakup narzędzi i pomocy naukowych, bo przecież politechniczniacy to nie tylko prac ręczne, a oprócz braku narzędzi wiele szkół odczuwa duże braki w wyposażeniu pracowni fizycznych, chemicznych i biologicznych.

Obyśmy wspólnie odetchnęli (XI) ZŁE DOBREGO POCZĄTKI

ifikowanych nauczycieli pracy ręcznej.

W szkołach podstawowych przydzielono z konieczności pracę ręczną komuś pozostałemu, opierając się na przestarzałym już chyba założeniu, że nauczyciel szkoły podstawowej wszystko potrafi. Tymczasem, aby nauczyć pracy ręcznej, trzeba mieć jakiegoś zdolności do majsterkowania, rysunku, malarstwa. Kto tych zdolności nie posiada, temu nauczanie tego przedmiotu sprawia na pewno wiele udręki. Nie chodzi przecież o sztukę postukiwania młotkiem, należy kształtować wrażliwość estetyczną uczniów i rozwijać sprawność dziecięcych rąk.

Brak pomieszczeń na pracowni i warsztaty także daje się szkołom we znaki. Nie zanosi się jednak na szybkie zaspokojenie lokalowych potrzeb szkół, trzeba więc radzić sobie jakoś bez pracowni. Trudno wszakże prace z drewna czy z metalu wykonywać na zwykłej ławce szkolnej, zwłaszcza gdy dodatkowo odczuwa się brak podstawowych narzędzi.

Zawiodła bowiem również Centrala Zaopatrzenia Szkół zwana „Cezasem”, która dopiero niedawno przyjmowała zamówienia na sprzęt i narzędzia potrzebne do nauczania pracy ręcznej. W międzyczasie jedno z łódzkich liceów sprowadzało aż z Warszawy noże introligatorskie. W „Cezasie” coś niecoś wprawdzie było. Były np. młotki, ale takich rozmiarów, że w rękach jedenasto czy dwunastoletnich dzieci sprawiły wrażenie młotów kowalskich.

Wiele narzędzi można było kupić poza „Cezasem”, ale znów nie wszystkie szkoły miały na ten cel pieniądze. Zarządzenie w sprawie politechniczniacji dotarło do szkół, kiedy większość budżetów szkolnych została już zużytkowana na inne cele. Jeżeli niektóre szkoły zdołały się z tymi kłopotami uporać, to niemala rolę odegrało tutaj kumoterstwo. Tak, tak, autentyczne ku-

W zakładach pracy. Dyrektorzy niektórych zakładów wyrażają obawy, że praktyki te utrudniają wykonanie planów produkcyjnych i niezbyt chętnie się na nie zgadzają. Ministerstwo Oświaty nie porozumiało się bowiem z innymi ministerstwami, aby te wydały zarządzenia podległym sobie zakładom pracy w celu udostępnienia szkołom praktyk produkcyjnych.

Stwierdzić trzeba, że politechniczniacy nauczania wprowadzono do szkół dość nieoczekiwanie, nie przygotowując żadnego zaplecza. Nauczanie pracy ręcznej, organizowanie pracowni, sprzętu trzeba było rozpocząć jednocześnie. Wszystko to spadło na nauczycielstwo niepełnione. Wszystko to należało przewidywać, że nauczyciele wywiążą się z tego nadmiaru pracy należycie. Nazywa się ich przecież ofiarnymi społecznikami.

Pisząc niedawno o wychowaniu fizycznym w szkołach, stwierdziłem, że dostosowuje się nie warunki do programów lecz programy do warunków. W odniesieniu do politechniczniacji sprawa ta prezentuje się zupełnie inaczej, ale wcale nie lepiej. Postawione przed nauczycielami jednakowe wymagania, nie biorąc pod uwagę ich kwalifikacji i warunków w jakich przysię im pracować. Nie wpłynęło to dodatnio na sprawność wychowawczą wielu szkół.

Sytuacja wymaga rozsadnej weryfikacji nauczycieli pracy ręcznej; zorganizowania międzyszkolnej rozdzielni materiałów takich jak brystol, tektura, odpady z zakładów pracy i najrozmaitsze półfabrykaty; przydzielenia szkołom odpowiednich sum pieniężnych na zakup narzędzi i pomocy naukowych, bo przecież politechniczniacy to nie tylko prac ręczne, a oprócz braku narzędzi wiele szkół odczuwa duże braki w wyposażeniu pracowni fizycznych, chemicznych i biologicznych.



MAREK WAWRZKIEWICZ

„Szczęściarz Antoni”

Tytuł brzmi paradoksalnie. Po „Tysiącach talarów”, „Yetich”, „Walechach pikowych” i wielu jeszcze podobnych arcydziełach, których twórcy zakładali obecność na widowniach śmiertelnych wypadków na skutek ataków śmiechu, otrzymaliśmy w końcu film bezpretensjonalny, miły i szczerze bawiący. Znana para twórców wybitnego filmu animowanego „Zmiana warty”, Halina Bielńska i Włodzimierz Haupe z powodzeniem zadebiutowali w długim metrażu filmem pt. „Szczęściarz Antoni”. Film zaczyna się od zdarzenia jeśli nawet nie autentycznego, to bardzo charakterystycznego dla naszych stosunków. Oto młoda para małżeńska otrzymuje klucz do domu jednorodzinnego. Okazuje się jednak, że domek istnieje dopiero w projekcie, a główną przeszkodą w jego wybudowaniu jest pagórek (okolo 50 kubików ziemi) upiększający teren, na którym domek ma być wzniesiony. Splantowanie tej nierówności nie mieści się w kosztorysie, więc młoda para musi spędzać noc posłubną i jeszcze wiele następnych w bardzo prowizorycznym baraku z desek. Pagórek oka-

zuje się przysypanym piaskiem czołgiem, czołgu nie chce przyjąć ani muzeum wojskowe, ani składnica złomu, ani Ministerstwo Kultury i Sztuki.

Na tym właśnie temacie osnuty jest „Szczęściarz Antoni”. Film, jak się powie, jest bezpretensjonalny, zrywający wreszcie z drogą humoru nonsensowego, na której kinematografia polska poniosła tyle dotkliwych klęsk. Film — chciałoby się powiedzieć — konwencjonalny i to wybierający konwencję wcale nie najmłodszą — co oczywiście nie znaczy: bez ambicji. Twórcy nie ominęli żadnej okazji aby wykpić swoiście polskie stosunki i postacie. Dodajmy jeszcze do tego dobrą obsadę, a otrzymamy całość — film który będziemy oglądali z przyjemnością.

Czesław Wollejko w roli tytułowej tworzy postać daleką od wszelkiego szablonu. Antoni bawi, ale jednocześnie czuje się, że jest postacią niewymyśloną, stuprocentowo autentyczną. Teresa Szmigielówna w roli jego żony nie tworzy wprawdzie

kreacji wielkiej, ale swoje aktorskie zadanie wypełnia co najmniej poprawnie. Zwracają jeszcze uwagę znakomicie obsadzone i zagrane epizody — Opaliński, Zintel, Bartlik i inni. Może słabsze są zdjęcia W. Forberta i muzyka. W sumie jednak otrzymaliśmy dzieło dalekie od przeciętności i tuzinkowości, dzieło przypominające lepsze czasy polskiej komedii filmowej.



Doskonale zgrabna LOURDES DEOLINEIRA, którą oglądaliśmy w „Czarnym Orfeuszu” jako partnerkę Marpessy Dawn

Księga dżungli

Znając urok książki Kiplinga można wątpić w możliwość całkowitej udanej filmowej adaptacji „Księgi dżungli”. Niestety angielski film reżyserii Zoltana Kordy potwierdza tę wątpliwość. Nie udało się filmowcom zachować poetyckiego wdzięku pierwowzoru. Zwyciężyło w filmie to, co stanowi największą siłę oddziaływania tej sztuki — obraz. Przyroda koruje nad wszelkimi próbami przedstawienia przeżyć i konfliktów między ludźmi, a otaczającą ich dżunglą.

Historia chłopca wychowanego przez wilki i przyjętego w świat zwierząt, jego późniejsze dzieje pobytu wśród ludzi i powrót do dżungli pozwalają na zestawienie świata ludzi i świata zwierząt. Zestawienie to, nie wypada korzystać dla rodzaju homo sapiens, bowiem rozsądność, solidarność i naturalność to cechy nie ludzi, ale mieszkańców lasu dziewiczego. Z tą świadomością wychodzi widz z kina, jest przy tym syty obrazów doprawdy pięknej dżungli i jej władców, ale gdy wróci do domu otworzy chyba starego Kiplinga, aby poszukać w nim tego co w filmie zabrakło.

EKRANIK

Nagrodę Delluca za rok 1960 otrzymał film Henri Colpi „Une si longue absence” (Tak długa nieobecność) wg scenariusza Marguerite Duras. Jak wiadomo nagroda Delluca przyznawana jest debiutantom. Colpi znany był do tej pory jako autor rozpraw i esejów, książki „Cinema et ses hommes” oraz jako montażysta tak świetnych filmów jak „Hiroshima moja miłość”, „Noc i mgła”, „Tajemnica Picassa”. Krytyka uważa jego film za bardzo interesujący z punktu widzenia wartości formalnych. Treść jest bardzo prosta. Właścicielka bistro (Alida Valli) poznaje nagle w jakimś włóczędźce swego zaginionego w czasie wojny męża (Georges Wilson). Włóczęga nie pamięta i zanim zdoła ocknąć się w nim jakiegoś niejasnego wspomnienia, znikła.

* Centrala Wynajmu Filmów wprowadza w okresie kampanii wyborczej zestaw złożony z 26 polskich filmów krótkometrażowych. Zobaczyć będzie można m. in.

bardzo dobre filmy reż. Jana Łomnickiego — „Stal”, „Hula — 59”, „Narodziny statku”, „Ten trzeci”, „Narodziny miasta”. W skład tego zestawu filmowego wejdzie również film reż. R. Stando pt. „A jest ich 459” — ukazujący naszą Sejm „od kuchni”, codzienną pracę posłów w poszczególnych komisjach. Ujrzymy również na ekranach dwa filmy wyprodukowane przez WFO w Łodzi, a mianowicie: reż. R. Sobieckiego — „Stocznia w Gdańsku” oraz reż. Tadeusza Jaworskiego „Grunwald”. Film ten został zrealizowany w oparciu o scenariusz piosenki Mariana Brandysa. Jest to ciekawa nieinscenizowana próba filmowa rekonstrukcji przebiegu zwycięskiej bitwy z Krzyżakami z roku 1410.

* Ingmar Bergman zadebiutował jako reżyser... teatralny. Otóż Królewski Teatr Dramatyczny w Sztokholmie wystawił w jego reżyserii „Czajkę” Czechowa. Rolę główną w tej sztuce gra znana z wielu filmów Bergmana — uroczą Ewa Dalbeck.

* 5 kwietnia na ekran kin „Stylowy” wejdzie głośny film dokumentalny reż. Erwina Leisera — „Mein Kampf”.

ALEKSANDER NIEŚMIAŁEK

Gorączka w El Pao

Ostatni film z udziałem Gerarda Philippe'a jest niestety, utworem nie udanym. Scenarzysta i reżyser w jednej osobie — Luis Bunuel, twórca „Nazarina” i „Los Olvidados” zrealizował typowy melodramat z tzw. „wyższych sfer”. Próbował także ukazać bardzo mglisty obraz działania reżymu dyktatorskiego i walki z nim prowadzonej przez młodego liberala. Akcja toczy się w niewymienionym z nazwy totalitarnym państwie Ameryki Łacińskiej, w którym rządzi krwawa klika siepaczy.

Bohaterami filmu jest

dwoje ludzi: ona — wdowa po gubernatorze, on — sekretarz gubernatora wyspy, na terenie której znajduje się obóz pracy i zagłady. Młody człowiek rękoma ma jakieś ideały, pragnie walczyć z krwawym reżymem dyktatora, Uroczą i namiętna wdowa pragnie żyć tylko ze swym kochankiem i uwolnić się od przymusowego świadczenia „usług” innym, którzy chcą to zyskać przy pomocy szantażu i intryg politycznych.

Melodramat drażni swą płytkością i naiwnością. Owe dążenia „rewolucyjne”



młodego literata są zwyciężoną utopią, ograniczają się tylko do odwagi wydania rozkazu uwolnienia z kajdan więźniów politycznych i złożenia kondolencji córce jednego z zamordowanych.

Przed bohaterem filmu scenarzysta postawił problemy, których ten nie tylko, że nie potrafi rozwiązać, ale także nie wierzy w jakiegokolwiek rozwiązanie. Jego walka kończy się na gestach współczucia dla morderców i westchnieniach nad własnym niepowodzeniem, własną niemocą,

Gerard Philippe nie miał w tym filmie łatwego zadania, toteż rola przez niego interpretowana nie jest kreacją aktorską, a jedynie poprawnym wypełnieniem wskazówek reżysera. Szkoda, że właśnie tego ostatniego filmowego wcielenia Philippe'a nie można zaliczyć do Jego wielkich poprzednich sukcesów.

Partnerami wielkiego aktora są: Maria Felix — jedna z najpiękniejszych kobiet świata, ale nie najlepsza aktorka oraz Jean Servais, chyba najlepiej jeszcze interpretujący bar-

dzo zresztą papierową rolę „ciemnego charakteru”. Poprawna reżyseria Bunuela ustępuje mistrzowskiemu operowaniu kamerą przez słynnego już Gabriela Figueroę. Malarzkie, a może zbyt malarzkie kadry, należy zaliczyć do nielicznych plusów tego chybionego tematycznie filmu.

odpisy str. 3



(Dalszy ciąg ze str. 1)

Wnych oskarżonych i poszkodowanych. Reszta — naj- najmniej 5 razy tyle — to wezwani lub doprowadzeni wspólnicy, świadkowie, przy- byli adwokaci, rodziny, współwinni, których nie do- sięgła ręka prawa.

32,5 tysiąca ludzi na 150 tysięcy zamieszkujących miasto i powiat — czyli co 5-ty mieszkaniec raz w roku styka się z sądem. Ale rzeczywistość różni się nieco od średniej statystycznej. Niektórzy trafiają do sądu kilka razy w roku. Są wśród nich przestępcy i ludzie pokrzywdzeni. Cisną się tu wszyscy, domagając się sprawiedliwości. Pokazują swoje rozdrapanie rany, dusze albo blizny ciała, (bo procedura trwa dłużej niż goją się rany) i lisie twarze złodziei mienia publicznego; obrzękłe gęby chuliganów, oczy tępe, usta wpółotwarte.

To sąd — czyli kondensat życia. Tu codziennie ogląda się bezpłatnie dziesiątki „Kobry”, które wcześniej gra- li najprawdziwszymi aktorzy, bez teatralnych peruk i szminek — żywi ludzie. 33 Piotrkow- skie „Kobry” w roku 1960 zakończyły się najprawdzi- wszą śmiercią bohaterów. Sporo pozostałych zakończy- ło się najprawdziwszym ka- lectwem ciała lub duszy. Sąd jednak obchodzi przede wszystkim ciała...

Doprawdy, nie trzeba stu- diować ankiet socjologów, wystarczy przyjść do sądu aby zobaczyć w biegu prze- zmiany zachodzące w naszym życiu. Nikt tu nie jest w stanie wymyślić się od swego losu. Dziennikarz może mieć tylko wątpliwości — czy przyjemnie jest co dzień nu- rzać się w tym bagnie? Sęd- dzia lub prokurator — nigdy! Są zaprzysięgłymi kapłanami Temidy.

2.

— Interesują redaktora procesy zachodzące w życiu naszego miasta i powiatu. — Szef piotrkowskiej prokura- tury prok. Jan Wesolowski cierpliwie wertuje grubą teczkę.

Mam tu — unosi wzrok — ciekawą statystykę za ostat- nie 3 lata podstawowych grup przestępstw dokonanych na terenie naszego powiatu, która może być wstępem do rozważań.

1. Grupa. Przystępstwa przeciwko władzom i urze- dom. W roku 1958 było ich 137, w 1959 — 127, w 1960 — 111. Czyli — komentarz prokuratora — tendencja po- wolnego spadku.

2. Kradzieże na szkodę osób prywatnych i rozbój. Kolejno w tych samych la- tach: 497, 662, 654. W tej pozycji jest gwałtowny skok w górę. Główna pozycja w tej grupie są jednak tylko drobne kradzieże którymi w przeszłych latach milicja mało się zajmowała.

3. Kradzieże na szkodę państwa: 645, 631, 653.

4. Wypadki drogowe: 190, 185, 241 — gwałtowny wzrost w związku ze zwięk- szonym ruchem pojazdów (typowych katastrof jednak mniej).

5. Sprzedajność urzędni- ków: 11, 19, 12.

6. Chuligaństwo i prze- stępstwa przeciwko życiu i zdrowiu: 159, 176, 208 — „trudny” wiejskie pora- chunki. (Typowego chuli- gaństwa na ulicach mniej).

7. Ustawa Antyalkoholowa: 218, 221, 183 — spadek.

8. Samogon: 110 41, 44.

9. Spekulacja: 122, 119, 159 — statystyczna huśtawka.

głównie w wyniku niechluj- nego zaopatrywania wsi w drobiazgi.

10. Pożary: 111, 162, 105. Osobna statystyka dotyczy trupów — czyli przestępstw ze skutkiem śmiertelnym. W roku 1958 było ich 50, w 1959 tylko 35, a w 1960 — zaledwie 33.

Swoją statystykę ma także sąd, w którą chętnie wta- jemnicza dziennikarza prezes — mgr. F. Czajkowski.

Co roku do sądów Piotrkowa wpływa ponad 3 tysiące spraw karnych i tyleż cywilnych. Wiele piotrkowska dostarcza 2/3 wszystkich spraw a 1/2 tylko miasto. Jedną czwartą spraw cywil- nych stanowią sprawy roz- wodowe i tyleż majątkowe.

3.

W sali na I piętrze toczą się sprawy majątkowe. Dia- log sąd — strony trwa:

Sąd: — nie możemy pod- dzielić waszej 5 hektarowej działki na dwie części. Powstałyby w ten sposób dwa karłowate gospodarstwa nie- zdolne do samodzielnego rozwoju...

Suwałowie — Antoni i Marian, mają na twarzach wypieki zaciętrzewienia. „Twardo” mówią swoje.

świadców kłamie i powinien być oddany do dyspozycji prokuratora. Ale który? Koń pogrzebany przed 22 laty nie wstanie, by świadczyć.

We wszystkich niemal salach piotrkowskiego sądu sprawy majątkowe przeplatają się z innymi. Lecz od roku 1957 zaczynają jakgdy- by przytłaczać sąd, ale to są tylko pozory. W rzeczywistości nie wpływa rocznie nawet 1.000 nowych. Ba, ale toczą się stare „złote procesy”

— Ogólne zaciętrzewienie jak gdyby słabnie — obser- wują starsi przedstawiciele piotrkowskiej palestry.

— Ludzie by się może więcej sądzili ale coraz bardziej szkoda im pienie- dzy. To nie to samo co 3 lata temu — zwierzył mi się jeden z młodych adwo- katów. Obiecał, że po po- łudniu, na kawie powie mi więcej o tym zjawisku, ale — jak to się mawia w są- dzie — „nie stawiał się o wyznaczonej godzinie”.

Stosunkowo najwięcej czu- pności obserwuje się w sprawach o podział ziem. Spora ich część ciągnie się dłużej niż rok. Ciekawa jest i od lat niezmienna psychi- ka niektórych chłopów: bez

szcze obojętności wsi na ukrywanie ziemi. Na plus tej obojętności warto podkreślić że jest ona „córka” dawnej bojaźni lub nawet solidarno- ści wsi z kręjącymi. A więc „matka” była jeszcze gorszą od „córki”.

4.

Sprawa którą referuje sęd- dzia-kobieta w sali nr 4 jest jak gdyby wyjęta „na ślepo” spośród setek innych okre- ślanych jako chuligaństwo typowe.

Stanisław, Jan i Ryszard Michałakowie podpisali so- bie na zabawie we wsi Bud- ków gromada Woźniki i awanturując się, wyzwali bufetową Joannę Zielińską od k...

Milicja wniosła sprawę karną a obrażona bufetowa cywilna. Przystępców na rozprawę doprowadzono z aresztu.

Zwykle zdarzenie. Ale tak się tylko może wydać. Któraż kobieta przed kilka- ma laty w „złoty” okresie chuligaństwa, w dodatku ze wsi, osmieliłaby się wnieść pozew przeciwko 3 „baciorom”? Taka sprawa mogła wpłynąć do sądu tyl- ko w atmosferze poczucia

— Woźniakowie — wywo- łuje adwokat powoda.

Do pustej sali wchodzi ludzie w wieku lat 20. Stają przy oddalonych od siebie pulpitych „twarz do Sądu”. Przed nimi, poniżej pulpi- tów jakby u stóp małżonków czarne diabliki w błyskają- cych monoklach — adwoka- ci.

Woźniakowie, Mieczysław i Maria — ustala sąd — znali się przez 3 miesiące, związek małżeński zawarli w roku 1959 potem przesta- li z sobą utrzymywać stały kontakt.

(Taki rozprawy są naj- częstsze i kształtują oblicze procesów rozwodowych są- du w Piotrkowie).

Ona: znałam małżonka krótko. Zrobił dobre wraże- nie, ale w dwa dni po ślubie wyjechał Wrócił po trzech miesiącach wraz z dwoma kolegami. Popili, pobawili się a potem on znów wyje- chał na pół roku...

On: — nie miałem miesz- kania więc ożeniłem się. Po- tem dostałem robotę w in- nym mieście...

Następna para małżonków

To ich pierwsza rozprawa- tzw. informacyjna.

Sąd: — Są dzieci?

Oboje: Nie mamy.

Sąd: — Zarzuty?

Ona: Po prostu charaktery- nasze nie są w stanie z so- bą współżyć. Te 4 lata mał- żeństwa były „piekłem”. To jednak nie była miłość, któ- ra zwykle gruntuje współ- życie, lecz wielka pomyłka.

On: Zgadza się na roz- wód. Zresztą czy go otrzy- mamy czy nie i tak żyć z sobą nie będziemy...

Sąd: — Tak nie można! A gdzie są ważne powody?

Ona: — Przecież współży- cie się źle układa... Czyż to nie najważniejszy powód? Niestety, obowiązujące Prawo Rodzinne stanowi inaczej. Do ważnych powo- dów nie zalicza się „nie- zgodności charakterów”. „Ważnymi powodami” są: opuszczenie domu przez jed- nego z współmałżonków, ustanie więzi materialnych i cielesnych (ba, a jak zadnie nie ma dokąd odejść)? trwa- ła impotencja jednego z nich, bądź zdrada cielesna.

— Na przestrzeni ostat- niego półrocza — relacjo- nuje Prezes Sądu Powiatow- ego w Piotrkowie mgr. Czajkowski — obserwowa- my wzrost napływu spraw rozwodowych bez tzw. „ura- żliwych powodów”. U stron zaczyna się uciecać poglą- że dla uzyskania rozwodu wystarczy zgoda obojga. W związku z taką sytuacją rozwodów oczekujemy mniej.

Dziennikarz, który wyslu- chał sporej porcji spraw rozwodowych (nie tylko w Piotrkowie) czuje się upo- ważniony do postawienia tu- drukiem istotnego dla usta- wodawców pytania: — A może w pojęciu „ważne po- wody” zeszłyby się niektó- re treści a urodziły nowe?

Na salach sądowych pa- dają zarzuty przeciw współ- małżonkom: mają mnie opu- ścił, upija się... nie rozumię- my się... Zna od dłuższego czasu odeszła i ma dzieci z innym. Mąż ma dzieci z inna...

Dziennikarzowi (a bardzo- rzadko sędziom i doświad- czonym adwokatom) nigdzie nie zdarza się dziś usłyszeć zarzutu:

— Zadam rozwodu, bo mąż zdradził mnie cielesnie 4 stycznia o godzinie 22.00 z obywatelką iks. Rzadko- również (choć nieco czę- ściej) można usłyszeć ten- zarzut w odniesieniu do żo- ny. Jeśli pada on to zawsze kryje się za nim chęć wyko- rzystania go jako pretekstu dla uzyskania rozwodu.

Zatem dla większości stron najistotniejszą sprawą przy- wnoszeniu powództwa o roz- wód staje się całe pożyście a nie jakiś epizod w postaci „zdrady cielesnej”.

Tymczasem w sądzie udo- wodnienie zdrady cielesnej wystarczy dla uzyskania roz- wodu a choćby najdrastycz- niejsze malowanie niezgod- charakterów — nie zawsze.

Ustawodawca wychodząc z założenia, że rodzina jest podstawową komórką spo- łeczeństwa, zawarł w oby- wiązujących przepisach m. in. takie intencje: małżeń- stwo to poważny krok, po- myśli dobrze, bo „ożenił się” nie będzie później lar- two. W myśl tej zasady dzia- ła również sąd.

Intencje wydają się nat- słuszniesze, ale czy też „straszak” jest „złoty” środkiem?

— Uważam — powiedział na ten temat w rozmowie z dziennikarzem piotrkowski- prawnik mec. Janusz Różycki — że małżeństwo, po- wszystkich społecznymi ar- gumentami, jest umową cy- wilną. Traktowanie go na- innej płaszczyźnie, zwłasz- cza gdy nie ma dzieci, wy- daje się być w moim prze- konaniu — resztkami socja- laryzmu...

Nie tu dodać, nie ująć a pomyśleć warto.

JERZY PILICHOWSKI

PS: Nazwiska w procesach rozwodowych zmienilem ze zrozumiałych względów. J. P.



— A bo to ja po innym ojcu syn, że sąd mi spłate przysądził, a Marianowi ziemię? — pyta starszy.

Sędzia: — Wy pracujecie, mieście miejski zawód a wasz brat jest rolnikiem, już kilka lat uprawia ojcowiznę.

— I tak odbiorę i sprze- dam swoją część — mruczy pod nosem starszy brat, opuszczając salę sądową.

Jeśli Antoni Suwała spełni swoją groźbę, stanie się za- dość pewnej prawidłowości: jeszcze jedna wieloletnia sprawa cywilna — majątko- wa „zrodzi” sprawę karną.

Caly balagan, panujący od dziesiątków lat w sferze posiadania ziem w karyka- turalnie zagęszczonych formie odbija się w lustrze Temidy. Ogniem zamulająca umysł sędziów czynność polega tu na ustalaniu rzeczy dawnych.

— Ojca nieboszczyka koń był tłusty, a półsorek nie taki lichy, jak mi siostra chce dać z wyroku sądu — żali się inny uczestnik dzia- ła rodzinnego z gromady Moszczenica.

Jaki był koń nieboszczy- ka? Sąd musi to ustalić choć obaj (ojciec i koń) nie żyją już od lat 22.

Jeden z przesłuchiwanym świadków zaciska w zapal- czywości baraniec w lewej dłoni a prawą bije się w piersi, że koń „był byleja- ki”. Drugi świadek z tej sa- mej wsi z równym zaciętrze- wieniem wykrzykuje, „że to był smok nie koń!”, wydy- ma przy tym policzki, by jak najbardziej przypomnieć „Wysokiemu Sądowi” jak wygląda tłusty koń. Małe oczka świadka świdrują ba- dawczo komplet orzekający.

Jeden z tych dwóch

rozumnej kalkulacji potrafią „prawować się” przez rok o rzecz która nie jest często warta nawet połowy kosz- tów. Sąd czyni wszystko by powstrzymać proces rozdra- bniania się gospodarstw ale czy daje to rezultaty?

Rolnicy dzielą ziemię nie- zależnie od ustaw: dają po- szczególne dzieciom, wnuk- om, bliskim krewnym, morgi a nawet hektary. Ci wracają na te działki i rządzą jakby były podzielo- ne. Fikcja więc staje się to co zostało zapisane w aktach. A fikcja jak wszystkie fik- cje, będzie musiała za kilka lat ustąpić faktom dokonany- m.

W Piotrkowskiem wystę- pują tendencje dzielenia zie- mi, ale czy obok nich nie ma zjawisk (ukrywanych z uwagi na progresję podatko- wą) łącznego użytkowania 2—3 gospodarstw całej ro- dziny przez jednego rolnika?

Nikt jednak nie bada tych procesów łącznie. Nikt nie był więc w stanie odpowied- dzieć reporterowi w jakim rzeczywiste tempie wieś piotrkowska rozdrabnia się? Do posiadania ilu hektarów grawituje rolnik dojeżdżają- cy śląską linią elektryczną do pracy?

Lustro Temidy odbija tyl- ko częściowo rzeczy wiste słosniki własnościowe na piotrkowskiej wsi we wra- szajacej Hości bójek na tle nieporozumień majątkowych. Spojrzenie socjologa dojrza- łego na salach sądowych, gdzie toczą się walki o ma- jątki, nowy negatywny typ rolnika-kręjąca. To samo spojrzenie odnotowałoby je-

całkowitego bezpieczeństwa, w atmosferze potępienia wsi dla awanturników. Dawnej, gdy wieś szczerze darowy- wały takie postępi swoim mieszkańcom lub wydawały „wyroki” skucia morder- winowajcom na następnej za- bawie — podobny pozew nie mógłby się zdarzyć.

— Chuligaństwo typowe w naszym powiecie — in- formował reportera proku- rator — wypędziliśmy już z ulic miasta i wsi. Niestety, nie można tego powiedzieć o zabawach wiejskich, ma ono tam długie korzenie. Bitki są formą „złatwienia porachunków gospodar- czych”.

Większą część awantur na wiejskich zabawach poprze- dzają nieporozumienia mię- dzy rodzinami. Za mały wpływ dotąd mają na wsi soltysi i radni. Myślę, że no- wych radnych należałoby obarczyć funkcją mediator- ów w przeróżnych sporach.

5.

Od niedawna 2 sędziom Powiatowego Sądu w Piotrkowie powierzono sprawy rozwodowe, które dotąd by- ły właściwe tylko Sądowi Wojewódzkiemu. Statystyki na tym odcinku muszą za- skoczyć każdego:

Rozwody stanowią 1/4 wszy- stkich spraw cywilnych w powiecie, 80 procent po- wództw jest wnoszone przez małżeństwa bardzo młode — do 5 lat pożycia, 70 proc. wszystkich powództw po- chodzi ze... wsi (!)

Pod drzwiami sali nr 9 — jak w kościele w zapadłej wsi — po jednej stronie sto- ją kobiety po drugiej męż- czyźni.

to Lesiecy, Zofia i Adam, oboje urodzeni w 1939 roku. Związek małżeński zawarli w roku 1957. Poznali się w czasie wakacji na „auto- stopie”...

Sąd: — Dzieci są?

Ona: Nie żyliśmy z sobą w ogóle. W dniu ślubu po- klóciliśmy się, potem mąż pogardził mną i „zepsuł mi- łość”...

On (na pytanie sądu): — Nigdzie nie pracuję...

Trudność natury praw- nej: jeśli nie było pożycia nie można dać rozwodu, bo nie nastąpił rozkład z „waż- nych powodów”. Sprawa odroczonea.

Następna para to Pietrza- kowie: Stach i Wiesława, za- mieszkali na wsi.

Ona: Wzięliśmy ślub w Urzędzie Stanu Cywilnego a kościelny mieliśmy brać, jak Staszek wrócił z wojska, ale on się rozmyślił...

Młodość, brak doświad- czenia, stare, stęchłe normy moralne obowiązujące jesz- cze na niejednej wsi są głównymi czynnikami poja- gającymi za sobą zwiększony napływ tego typu spraw.

6.

Wśród spraw rozwodo- wych rozpatrywanych przez piotrkowski sąd zdarzają się bardzo ciekawe, stano- wiące wyraz zmieniających się obyczajów.

— Styczeńscy — wywołuje adwokat powodki.

Na salę wchodzi para mał- żonków w wieku lat 30.

Lódź, która
niepostrze-
żenie
przemija

Fot. W. Biliński



Lódź, która
się rodzi

Fot. W. Parys



JERZY DAGOBERT

Opowieść hiszpańska o zmroku

Rękopis znaleziony — tym razem — w Burgos? Niech nas nie myli styl narracji i cieniutka warstewka quasi — literackiej fikcji. Wszystko tutaj jest prawdą, bohater namiętniej opowieści jest postacią prawdziwą, występującą pod autentycznym nazwiskiem. Fakty, tylko fakty, czyli: dzisiejsza Hiszpania w opisie politycznego więźnia.

Oto jest Burgos — senne starokastylijskie miasto z orzeźwiający widokiem na góry i płytką, lecz wartką rzekę — jedynym widocznym symbolem życia i przemijającego czasu. Oto jest Burgos jak na dłoni; jeśli nie znacie południowych miast, z trudnością przyjdzie wam wyobrazić sobie jego surową, kamienną twarz zaciętą w milczeniu murów i ludzi. Ja znam to miasto; od dawna ze słyszenia znam, a od przedwczoraj — z należytego opisu. Znam także pewnego człowieka od kilkunastu lat przebywającego w tym mieście. Adolfo Prieto jego imię, opowiem o nim.

Oto jest Burgos, ze swoim odwiecznym architektonicznym spektaklem; katedra, która wydaje się godną, aby nosić imię Świętej Inkwizycji. Władza nad miastem, jak Penas de Europa nad masywem Gór Kantabryjskich, równie jak ów szczyt wyniosła, niema, i obca. Ciężki, nader dosadny hiszpański gotyk, który mimo nagromadzenia ozdób i staranności z jaką naśladuje francuską lekkość, wyraża się z zaborczego ducha na pół barbarzyńskich Maurów.

Nie katedra wszakże, mimo swej wspaniałości, stanowi motyw, wokół którego pragnąłbym osnuć swą hiszpańską opowieść. Jest nim budowla okazała i bezstylowa raczej, ale dostatecznie znana na całym Półwyspie Iberyjskim, aby dostąpić tego zaszczytu. W

więzieniu w Burgos przebywa największa w Hiszpanii grupa około pięciuset politycznych więźniów, a wśród nich właśnie — Adolfo Prieto. Człowiek, który utracił wzrok i wszelką nadzieję.

rzyszą paradoksy: przeszło osiemdziesiąt procent ludności otrzymuje za ledwie jedną trzecią dochodu narodowego, a płaci — sześćdziesiąt procent podatków. Nad tym wszystkim, niezmiennie — On, Francisco Franco y Bahamonde, niezmiennie

niewinni, winnymi stają się dopiero tutaj w więzieniu. Grasuje tu „infekcja” nienawiści i „zdrady stanu” jej pędy wyrastają w drzewo, które kiedyś będą szumić na wietrze. Adolfo jest tego pewny, sam robi wszystko co do niego należy. Godzi

„My, mężczyźni i kobiety jesteśmy ofiarami podwójnej niesprawiedliwości: na podstawie stanu wyjątkowego ogłoszonego w naszym kraju na początku wojny domowej, która skończyła się 21 lat temu, skazani zostaliśmy jako przestępcy za poglądy, które reprezentujemy, za działalność, która w każdym innym kraju byłaby uważana za mieszczącą się w granicach naszych praw obywatelskich”

A jeszcze w listopadzie r. 1960 minister sprawiedliwości w rządzie dyktatora wystąpił wobec międzynarodowej komisji adwokatów z uroczystym zapewnieniem, że „w więzieniach hiszpańskich nie ma ani jednego więźnia skazanego za czyn popełniony w okresie wojny domowej”.

Nie ma jednego. Są tysiące. Wśród nich — Adolfo Prieto.

Pamięć niewidomego Adolfa wykształcała się w osłry, doskonale rezonujący zmysł. Więzień liczy swój czas pamiętnymi datami obejmującymi okres względnej spokoju. W roku 1956 północą kraju wstrząsnął strajk — więzień natychmiast się ożywił. Rok 1958? Proszę bardzo Adolfo pamięta moment, gdy do przestronnego więzienia w Burgos przybyło kilkunastu studentów aresztowanych pod zarzutem dokonania próby restytucji partii komunistycznej. Ci młodzi mieli na sumieniu w gruncie rzeczy jedynie udział w moskiewskim festiwalu artystycznym. W czerwcu 1959 przyszli inni — robotnicy i aktywiści związkowi, aresztowani profilaktycznie w przeddzień zaplanowanego strajku. Z początkiem roku 1960 Hiszpanią wstrząsnęły bomby, a więzień w Burgos miało nadkomplet. Czyżbyś niecierpliwe kroki, którym towarzyszył wysoki, o na pół dziewczęcym brzmieniu głos, zakłóciły tej wiosny na pewien czas ciszę celi Adolfa. Głos mówił: „Zapamiętaj, padres, jeżeli kule zaczną pewnego dnia świstać niech już nie powstrzymają. Franco utrzymuje się przy władzy jedynie dzięki temu,

że nikt nie poważnego nie zrobił, aby go obalić. Oczywiście, dwadzieścia lat demoralizacji i eksploatacji robotników...”

— Chłopce odpowiedział wówczas Adolfo, trzymając język za zębami, chłopce, pamiętaj gdzie jesteś, czy ja choć stary i ślepy, nie mógłbym być jeszcze dobrym szpiclem? Czy sądzisz, że tego mi nie proponowano? „Padre, padre — mówił głos — co mi tam, wylał mnie z uniwersytetu, a jeśli stąd wyjdę, znajdę się na bruku, nie wiesz jaka jest sytuacja w kraju, tam na wolności? Nadmiar „swobody”. Robotników zwalniali nawet z madryckiej Manufacturas Metalicas Nikolasa Franco i doradzają im wyjazd na pracę do Niemiec zachodnich”.

— Po cóż — myśli Adolfo — wpuszczają tutaj tych goraco-głowych zrozpaczonych chłopców? Czy nie dość mi własnej rozpacz i beznadziejności?

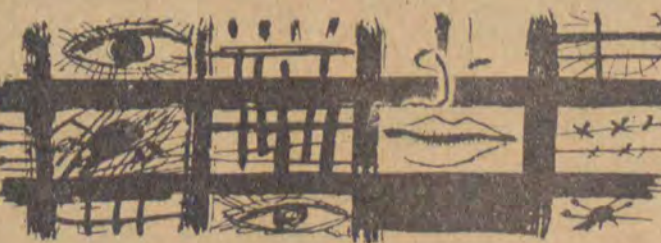
Młodzi nie zabawili długo. Przeniesiono ich zapewne do innego więzienia, lub jakiegoś obozu. Wkrótce po ich odejściu, na przełomie roku, przez kamienne mury więzienia przeniknęła wiadomość o masowych aresztowaniach w Andaluzji — tym razem nadzwyczaj wzmożoną frekwencją zanotowano w więzieniach Kordoby.

Stary, bardzo stary i znudzony Adolfo siedzi na wyleżanej przyczynie i duma: — Czy człowiek o wszystkich takich rzeczach musi wiedzieć? Przed kilku dniami doszła go wiadomość o aresztowaniu i skazaniu na śmierć za udział w wojnie domowej Alejandra Navarro i Anastazio Marino. Wyrok ten zamieniono im potem na dożywotne więzienie. To byli jego towarzysze z okresu wojny domowej. Adolfo wie, że już nigdy z nimi się nie spotka. Chyba po dożywotniu — i znowu bladej uśmiech oświetla jego twarz — jeśli ktoś chciałby w to wierzyć...



„Tym razem, najeżdźcy z USA posiadają zmagazynowane bomby atomowe w Kadyksie. Posiadają oni w naszym kraju 5 wielkich baz lądowych, morskich i lotniczych. Budują na Balearach wyrzelnie pocisków zdalnie sterowanych i planują budowę na Wyspach Kanaryjskich specjalnej bazy dla łodzi podwodnych o napędzie atomowym, wyekwipowanych w rakiety „Polaris”. Amerykańskie dowództwo wojskowe w Madrycie — będące w stałym kontakcie z Pentagonem — decyduje o życiu i bezpieczeństwie nas wszystkich, nie pytając nas o zdanie. Trzy piąte dywizji hiszpańskich stoi do dyspozycji Amerykanów... Z drugiej strony Niemcy — wspomaganą przez b. hitlerowców, którzy zbiegli do Hiszpanii i wśród których wielu posiada fałszywe dokumenty hiszpańskie — metodycznie rozwijają działalność gospodarczą i instalacje wojskowe, swobodnie pracują w naszych laboratoriach naukowych, przeprowadzając w nich badania i doświadczenia zabronione układami paryskimi, produkując pociski zdalnie sterowane przystosowane do ładunków atomowych, kontrolując przeszło 50 procent całej hiszpańskiej produkcji broni”.

(Z ulotki Unii Socjalistycznej Hiszpanii)



nie zwycięski i promieniejący intelektem „caudillo”. Czy wiecie, padre Adolfo — mówił jakiś głos — że położenie lucności w naszym kraju jest obecnie gorsze, niż w Rodezji? Głos przechodzi w szep, w szpazmatyczny, zdławiony fałset; ci młodzi są niekiedy naprawdę

się wiedzieć, że był wśród tych, którzy napisali ów nie dawny apel do opinii światła; apel, jeśli tak można nazwać ów przemycony za granicę tekst wykalgrofanowany możliwie na higieniczny papierze, a który sprawił tyle kłopotu frankistowskiej propagandzie:

WIELKA PRZEPROWADZKA

* * *
Kindze

Dom zaczyna się klamką
Wchodząc w krąg światła
Zdejmujemy rękę z klamki
Bierzemy jej ciepłą chłod
Do ciepłego wnętrza dłoni

Gdy na niej zatrzymamy rękę
Klamka jest źródłem czystym
Domowego ogniska
Oddechem sprzętów
Krwioobiegiem szczęścia

Strzeżmy się drzwi bez klamek



DOM

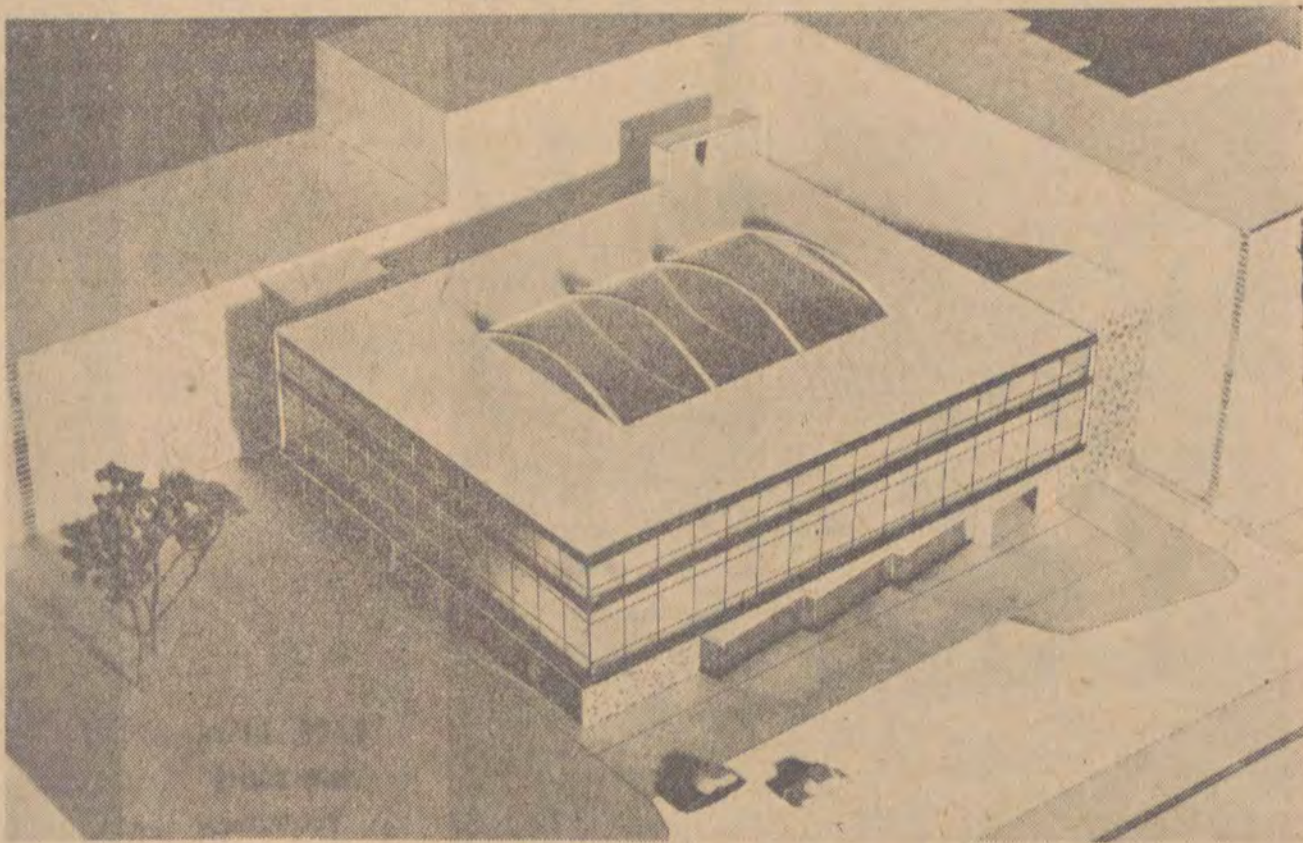
Na początku były oczy
Szparki utkane nieufnością
Brwi uniesione do głodnych rąk
Wysłuchanie w jeszcze obcą krew
Drzazga splekanych warg
Potem gwiazdy obróciły ręce
I tak zaczął się nasz dom.



Mały monolog aktora

Obmyślam sobie taki gest, bym objąć mógł
człowieka i drzewo, światło i cień, ogień
i wodę,
studuję w lustrze palców pięć, potem pięć
skrupulatnie jak botanik zdźbła traw.

Na gwiazdach kładę osobno każdy mój włos,
podglądam dykcję jego i twardą jego treść,
a jeśli Szekspir zależe się tam albo ten nasz
Słowacki,
ja ich rozgniotę na uczucia, bom przewertował
organizm gry
do nagiej kości,
do pestki lzy.



Tylko dla pań, męskiej części rodu ludzkiego — wstęp wzbroniony! Czyli — Dom Gospodyni.

CITY

Dalszy ciąg ze str. 1

luxów" tylko dla pań i wyłącznie dla pań, wreszcie z chlubą dziewiarstwa w kraju i okolicy, czyli ze sklepem „Olimpii”.

W tym miejscu państwo powiedzą: — A gdzie — jeśli wolno zapytać — mamy chodzić na kawę, do sklepów po materiały i niedzielne garnitury, a choćby nawet delikatesowe jajka jeżeli o wszystkie te rzeczy najłatwiej na Piotrkowskiej? W tym sek...

Trzeba mieć dużą wyobraźnię, by uwierzyć w rzeczy, które szykują się w kilku niezbyt efektownych pokłokach mieszczących się przy ulicy, oczywiście Piotrkowskiej pod numerem 91. Na zewnątrz wygląda to tak:

ZARZĄD INWESTYCJI HANDLOWYCH

To wizytówka. A reszta? Teraz — proszę was — zechcecie zamknąć oczy...

Jesteśmy na placu Niepodległości. Jego całą południową stronę zajmie bryła trzypiętrowego budynku, którego fronton jest jedną taflą lustrzanego szkła. 50 tys. metrów sześciennych kubatury, a więc dużo więcej od Centralnego Domu Towarowego w Warszawie. Inż. Pańkowski zaprojektował dwie pary ruchomych i co najważniejsze czynnych schodów. Budynek „pedetu” kosztował wprawdzie około 45 mln. zł, ale w zamian Łódź otrzymała blisko 4.100 metrów powierzchni handlowej, na której zostały urządzone stoiska z artykułami przemysłowymi, a więc odzież, obuwie, przedmiotami z dziedziny gospodarstwa domowego, drobiazgami i wyrobami użytku kulturalnego. Roczny planiczny obrót — przeliczając na ceny z roku 1961 — wynosi około 287 mln. zł.

Wszystko — dzięki sprawniej pracy 320-osobowego personelu. Naliczyć w tym można 215 uprzejmych ekspedientek. Nowoczesne urządzenia, przestronność, neonowe światła, pełna radiofonizacja, klimatyzacja i doskonale rozmieszczone stoiska pozwalają obsłużyć „za jednym zamachem” około 2.500 osób.

Nie samą kuchenką czy nowozakupionym telewizorem człowiek żyje. Stąd — prawdopodobnie — wziął się pomysł budowania t. zw. „przewiązki” czyli mówiąc inaczej korytarzowego połączenia bryły Powszechnego Domu Towarowego z... Barrem Szybkiej Obsługi. W owej przewiązce znalazły sobie miejsce stoiska z artykułami spożywczymi. A w barze — na zgłodniałych klientów PDT oczekuje 150 miejsc „konsumpcyjnych”. Tuż można zjeść nie tylko gorącą parówkę czy wypić „małe jasne”, lecz także coś znacznie konkretniejszego i smakowitego. Bar kosztował równie 11 mln. zł. niemniej

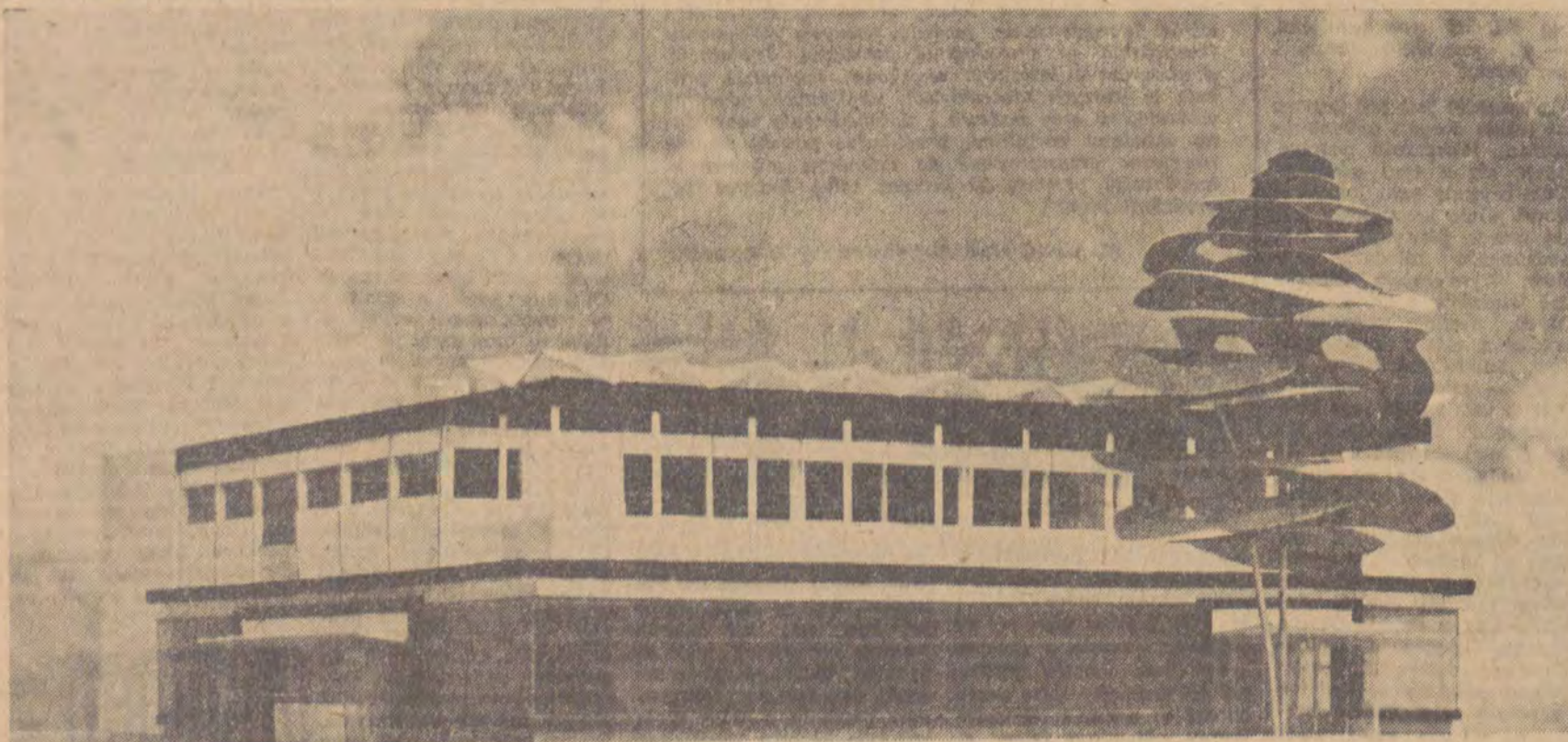
jego wyposażenie gwarantuje błyskawiczną obsługę. Nowością jest tutaj t. zw. system szwedzki. Co to znaczy? Po prostu — jeżeli chcesz zjeść kanapkę — wchodzisz w t. zw. „ciąg” obok którego ustawiono gabloty z przysmakami. Te, których smak wymaga podwyższonej temperatury są stale ogrzewane... promieniami podczerwonymi niewyczuwalnymi dla konsumentów. Nie ma problemu jeżeli przekładasz ciastko z kawą nad schaboszczką: na piętrze baru urządzone kawiarnie, której duże tarasy wychodzą na sąsiadujący o miedzę park Kiedy już odpoczywasz przy pół czarnej pozwól, że jeszcze coś ci powiem: jeżeli jesteś amatorem motoryzacji to zajrzyj do znajdującego się po przeciwnej stronie placu Niepodległości i niedawno wybudowanego olbrzymiego salonu — sklepu „Motozbytu”. Nie będziesz żałował — akurat pokazują nowoczesną „Syrenkę” która można kupić na przystępnych warunkach w sprzedaży ratulnej.

I dodatkowe słówko: prace wstępne przy budowie całego kompleksu gmachów nowego „pedetu” rozpoczęło w roku 1961.

Aha — byłbym zapominał! Jeżeli tak się zdarzy, że będziesz musiał coś „w biegu” przekazać a znajdziesz się w okolicy ul. Obrońców Stalingradu nr. 16 lub u zbiegu Al. Kościuszki z Andrzeja — skorzystaj z usług, które polecają tobie równie dobrze i nowoczesnie wyposażone bar szybkiej obsługi mieszczące się w tych punktach Łodzi, podobne do tego tak przed chwilą odwiedziłeś.

ZAPAMIĘTAJ:
własne cukiernie
wroby garmazeryjne
piekarnia, kuchnia
kawiarnia.
Obmyśl to dla siebie:
inż. inż. Bell oraz Wilk.

TYLKO DLA PAŃ. Mężczyznom wstęp surowo wzbroniony. Mogą co naj-



Skrzyżowanie ulicy Andrzeja z Alejami Kościuski. Tutaj będziesz mógł zjeść tanio, smacznie i szybko.

„Okulary”

Przedstawienie „Okularów” w Teatrze Powszechnym winno rozpoczynać się o godzinie 21. Widzowie nie byłoby wówczas narażeni na swego rodzaju pokutę, którą przygotował dla nich Lutowski, zanim udostępnił im kawałek naprawdę doskonałej sztuki, czyli „Fala”. Niestety, „Okulary” rozpoczynają się o godzinie 19 minut 30 i widzowie zmuszeni są do obserwowania czegoś, co miejscami przypomina „wesoly autobus”, a chwilami panopticum, niezamierzona satyrę na teatr realistyczny.

Porównanie z „wesolym autobusem” narzuca się wtedy, gdy Lutowski ukazuje perypetie dramaturga i jego żony (Marian Gamski na zmianę ze Zbigniewem Niewczasem i Ewa Brok-Brzeska). I Gamski i Brok-Brzeska robią wiele, aby przekonać nas jakimś to koszmarem jest uleganie modzie na nowoczesność i naprawdę, nie jest ich winą, że podczas całego pierwszego aktu „Okularów” nie sposób uwolnić się od wizji słoty Kierdziołka, gdy wzdycha przed publicznością: „Ludzie kochane, jak to się męczą te nasze kochane polskie dramaturgi”. Dla Kierdziołka „Końcówka” Samuel Becketta, to zapewne tylko puźki na śmieci, w których



siedzą jakieś facety i gadają ze sobą; dla Lutowskiego nowoczesność to także tylko symfonia nocników, rozmowy garnków i bełkot tarabumby. I jednego i drugiego nie obchodzi, o czym rozmawiają facety w puźkach na śmieci i że koniec końcem „Końcówka” mówi więcej o losie współczesnego człowieka niż dziesiątki tak zwanych „życiowych” sztuk, naturalnie i nieciekawie kopiujących rzeczywistość. Przekonuje nas o tym zresztą sam Lutowski dając próbki takiego teatru w scenie z literatem Wiktoorem lub w scenie z rewolucji francuskiej. Wiedza o świecie jaką nam udostępniła w tych próbkach, jest prawie żadna, banalna, stanowi reminiscencje po dziesiątkach sztuk i sztukach krążących po prowincjonalnych teatrach lub w odcinkowych „obyczajówkach” Barbary Gordon. Gdy

wyżej z rezygnacją oczykiwać na swoje Ewy w kawiarni, którą inżynierowie Ordene, Ajbel i Wójcik umieszcili na jednej z kondygnacji. Bo cała reszta pierwszego w Europie i urzędzonego kosztem 21 mln. zł. Domu Gospodyni jest w wyłącznym władaniu kobiet. Tutaj, przy ul. Jaracza, na placu, który po długich prawniczych korowodach został „wygęzkwowany” z rąk pana Oskara Kohna, za ścianami ze szkła — piękniejsza część rodu ludzkiego korzysta z gabinetów kosmetycznych. W licznych stoiskach zaopatruje siebie, swój dom, gospodarstwo oraz — o ile się — „pocięchy” we wszystkie niezbędne przedmioty. Tamże przy okazji czynionych zakupów w Domu Gospodyni w specjalnej sali ogląda najnowsze kreacje

ogląda się pierwszy akt „Okularów” Lutowskiego, nawet przeciwnik Becketta zaczyna tęsknić za Beckettem — czyżby tego Lutowski nie umiał przewidzieć?

Rozumiem dobre intencje Lutowskiego. Wierzę, że chciał wyszyczyć tylko „malpiarstwo”, pseudonowoczesny bełkot, zakłamanie. Gotów byłbym nawet solidaryzować się z nim, gdy mówi o teatrze bliskim prostemu człowiekowi. Pod warunkiem jednak, że walka o taki właśnie teatr odbędzie się bez demagogicznych hasel. Pora przecież zdać sobie sprawę, że nawet na mecze piłkarskie nie można chodzić nie przygotowanym i setki tysięcy widzów zapelniających stadiony znają doskonale nazwiska graczy, historie drużyn, ich porażki i zwycięstwa ba, znają także reguły gry i gwizdają, gdy sędzia wyda fałszywą ocenę. Tyleż samo przygotowania mamy prawo żądać od widza teatralnego. Widz ten powinien gwizdać, gdy autor „fauluje” stosuje niedozwolone chwytów niżej pasa, ucieka się do demagogii, a jego intencja zwalczania „malpiarstwa” obiektywizuje się na scenie jako walka z postępem w sztuce.

To słoty Kierdziołek dyktował Lutowskiemu akt pierwszy „Okularów”. Dlatego aktorzy nie znaleźli dość twórczości dla ożywienia martwych postaci; w pierwszym akcie nie ma w ogóle żadnej roli, a tam gdzie istnieje jej cień, jak choćby w postaci prokuratora — Ryszard Sobolewski akurat wypadł błąd, nieprzekonywająco, Marianowi Gamskiemu i Ewie Brok-Brzeskiej kazano błaznować, wspinać się na jakieś rusztowania na jakich skrzyżowanie ambony ze zjeżdżalnią w ogródkach jordanowskich. Ta gorliwość w ośmieszaniu ośmieszyła tylko autora, okazała, że teatrowi nowoczesnemu nie potrafi on przeciwstawić (przynajmniej w pierwszym akcie) nic wartościowego, nie konstruktywnego, nie godnego uwagi. W ten sposób niedźwiedzia przysługę wyrządził Lutowski konwencji, która jest mu najbliższa.

Żal było Czesława Przybyły i Alicji Knast w scenie „powrotu do domu”, gdzie zatrufowała młodopolska przybyszewszczyzna. Gamski i Brok-Brzeska odnaleźli siebie dopiero w miłośnym dialogu Rósi i Alonza. Ośmielię się powiedzieć że w tej scenie wypadli lepiej niż w tym samym dialogu Kaluda i Niemczyk. Siabosć pierwszego aktu podkreślały nieznośne dźwięki, co jest winą już

mody. Projektanci świetnie wywiązali się ze swoich obowiązków i wszystko zostało skrupulatnie przewidywane. Nawet t. zw. supersam spożywczy o powierzchni około 600 m. kw. Produkty pięknie opakowane w przezroczyste folie i dokładnie odważone czekają na półkach. Na wszelki przypadek w Domu Gospodyni czynnych jest kilka punktów usługowych dokonujących na poczekaniu drobnych napraw... zakupione sprzętu technicznego. Być może z tego powodu od dnia otwarcia — 8 marca 1965 roku — Dom Gospodyni przeżywa nieustanne obłożenie.

Ale to jeszcze nie wszystko. Innym nieważnym punktem na mapie zainteresowań Łódzianek jest nowoczesny budynek, którego



Teresa Kaluda (Rachel), Antoni Żukowski (Abraham), Leon Niemczyk (Alonzo) — w jednoaktówce „Fala”
Fot. G. Puciato

nie Lutowski lecz Krystyna Berwińskiej.

Drugi akt „Okularów” pisal na pewno Lutowski „Fala” jest utworem na bardzo wysokim poziomie, majstersztykiem, małym szlachetnym kamieniem przypiętym do źle skrojonej, a raczej źle uszytej sukni. W „Fali” są role; doskonale okazali się Antoni Żukowski jako Abraham ben Gedali i Teresa Kaluda wcielona w postać Racheli. To samo należy chyba powiedzieć o Leonie Niemczyk jako don Alonzo. Wydaje mi się jednak, że Niemczyk mówił tekst zbyt nerwowo, niekiedy niektóre słowa nie docierały do widowni.

„Fala” to utwór interesujący ze względu na warsztat dramaturgiczny i ze względu na swą problematykę. To sztuka odważna (choć nie wiem czy potrzebna?). Wolałbym, aby przy podejmowaniu spraw tak delikatnych jak problemy narodowościowe autor uciekał się do argumentów racjonalnych a nie emocjonalnych. Lutowski w sposób emocjonalny każe nam być po stronie nieszczęśliwego starca, a później po stronie jego córki. Opuszczamy teatr pełny sympatii do tych obydwu postaci, ale czy do końca przekonani o ich racjach? Osobiście bardziej cenię rozum niż emocje, chciałbym, aby po stronie Abrahama i Racheli uwypuklono przede wszystkim racje rozumowe, zgodnie z tym co powiedziała historia, ta dawna, i ta, która działała na naszych oczach. Argumenty uczucio-

we bywają na ogół kruche i nietrwałe; trzeba nam w sprawach narodowościowych argumentów racjonalnych, one są trwalsze i skuteczniejsze.

Szkoda, naprawdę szkoda, że Lutowski wypełnił cały spektakl, że nie zdecydowano się pokazać nam tylko samej „Fali”, uzupełniając ją właśnie jakąś nowoczesną jednoaktówką innego autora. Byłaby to szlachetna i słuszną rywalizacją dwóch konwencji. Być może okazałoby się, że w jednym teatrze jest miejsce na różną konwencję, nawet obok siebie; różnym ludziom bowiem różne rzeczy są potrzebne do szczęścia. Tymczasem „Okulary” stały się okularami krótkowidza, który jednym okiem widzi gorzej a drugim lepiej.

Państwowy Teatr Powszechny. „Okulary” — sztuka w 2-ach częściach Jerzego Lutowskiego. Reżyseria Krystyna Berwińskiej. Scenografia L. Jankowska i A. Tościa. Prapremiera.



wielka piekarna obłożona na 38 ton pieczywa w ciągu doby mieszcząca się przy ul. Tokarzewskiego, centralna garmatnia przy ul. Obywatelskiej itd. itd.

Włec — przeprowadzka. Może nie całego handlowego city ale w każdym bądź razie sporego kawałka. Dla ścisłości muszę jednak dodać: te wszystkie piękne domy gospodyni, supermarkety i ultrapedeciaki istnieją w tej chwili dopiero na kreślarskich deskach Biura Studiów i Projektów Ministerstwa Handlu Wewnętrznego. Ale RZECZYWISTOŚCIA stana sie najpóźniej do roku 1965, niektóre z nich nawet wcześniej...

Czy wtedy zajrzycie ze mną do nich?

KRZYSZTOF POGORZELEC

MARIAN PIECHAL **SEDNO RZECZY**

Talent i powodzenie

Nie ma to jak beztroski optymizm młodych debiutantów. Dobiłają się rozpaczliwie uznania ich talentu. I sądzą, że to już załatwi ostatecznie sprawę, przesądzi ich dalszy los. Ludzka się, że zdobycie pewności co do posiadania talentu, uwierzytelnionego — by tak rzec — powszechnym uznaniem, to przebrnięcie największej przeszkody i pokonanie największej trudności na drodze do ostatecznego celu: powodzenia i sławy. Naiwni! Nie wiedzą, że największa trudność rozpoczyna się dopiero od momentu zdobycia pewności, że się posiada talent.

Bo talent to odpowiedzialność. Przed kim? Przed sobą i przed innymi. Talent nie daje nam żadnego przywileju, tylko nakłada na nas obowiązki. Im większy talent, tym większe zobowiązanie. Wobec kogo? Wobec siebie i wobec innych. Talent obarcza nas zobowiązaniem, a innych obdarza prawem dociekania, jak się wywiążemy z otrzymanego daru natury, zwanego talentem. Człowiek, obdarzony talentem, staje się niejako własnością publiczną, którą każdy ma prawo sądzić i oceniać jego użyteczność i wartość społeczną.

„Na skalach oceanowych postawiłeś mnie, Panie, aby mnie wszyscy widzieli” — mówił Słowacki, a „widzieć” w tym wypadku to znaczy sądzić i oceniać czyli krytykować. Przez kogo? Czy tylko przez wybranych? Nie. Przez każdego, kto widzi. A widzieć może każdy, kto chce i kogo to interesuje. Jednym słowem talent to udręka jawności! Kto ujawnia swój talent, ten naraża się na udrękę powszechnego oglądu, a więc krytyki. Nasz talent daje innym prawo do zajmowania się nami, czyli do krytykowania każdego naszego czynu wynikającego z tego talentu. Ale nie tylko. Także nasze życie prywatne przestaje poniekąd być naszą prywatną własnością i staje się obiektem miary naszego talentu.

Nie tedy dziwnego, że im większy talent, tym większa odpowiedzialność czyli udręka. Stąd tyle skarg w listach, pamiętnikach i wyznaniach wielkich twórców na bezmierne i ustawiczne tortury, jakich im przysparza ich talent. Dopiero bowiem od zdobycia świadomości, że się posiada talent i od uznania go przez postronnych, zaczyna się prawdziwa trudność autorska. Co z nim robić, jak nim gospodarować, ażeby zdobyć tzw. sławę? I czy koniecznie sławę zdobywa się talentem? I czy sława to nie nowe zobowiązanie społeczne czyli nowa jeszcze większa udręka? A młodzi niedoświadczeni adepti sztuki, także sztuki słowa, wyobrażają sobie beztroško, że talent to sława, a sława to bioga rozkosz. Jednak K.I. Gałczyński, syt chyba tej sławy, jak mało który z jego rówieśników, powiedział o niej: „Sława? nieraz płakał, kto cię miał”.

A więc posiadanie talentu wcale jeszcze nie gwarantuje posiadania sławy, a sława niekoniecznie daje zaraz korzyści, zwłaszcza peku-

niarne. A pod takim najczęściej, że tak powiem, kątem patrzą na swój talent, powodzenie i sławę początkujący adepti sztuki. Uważają, że talent, to wstęp do sławy, a sława to powodzenie czyli dobrobyt materialny. Słowem, że talent, to ułatwienie, a nie utrudnienie życia. Jakże się gorzko mylą!

Talent nie ma nieraz nic wspólnego ze sławą i powodzeniem, a zwłaszcza z dobrobytem. Najczęściej jest wprost przeciwnie. Dość wspomnieć Norwida, który umarł w zapomnieniu i nędzy. A Słowacki? A Stendhal? A Cezanne? A Rimbaud? A to przecież prawie geniusze! Gorzej, jeśli sława trzyma się miernych talentów, a krótkotrwałe powodzenie bywa udziałem przypadkowych twórców jednego jakiegoś, koniunkturalnego zazwyczaj utworu.

Nie talent, tylko koniunkturalność przesądziła o nieprawdopodobnym wprost powodzeniu popularnego pisarza francuskiego Béranger’a. Był najslawniejszym obok Napoleona człowiekiem we Francji. Ludzie nosili go dosłownie na rękach. Za co? Za kilkadziesiąt doświatych artystycznych posenek.

„Geniuszem jednej nocy” nazwał Stefan Zweig Rougeta de Lisle’a, który stworzył w nagłym i jednorazowym wybuchu natchnienia ową sławną na cały świat „Marsyliankę”. Sam zaś pozostał zupełnie nieznanym i nieuznanym. „Los nie przebacza dyletantowi” — pisze Zweig — że wznosił się niepowołany w szeregi nieśmiertelnych. Pisz nadal wiersze, opery i teksty, które nie są drukowane ani grane. Coś w charakterze Rougeta jest nieodwołalne zranione i zmarnowane przez okrucieństwo owego przypadku, który pozwolił mu stać się bogiem i geniuszem na trzy godziny, a potem wzdąrdliwie strącił go z powrotem w nicość. Nigdzie nie lubiany, szczerzy przez wierzących, stale śledzony przez policję, chroni się wreszcie w jakimś zakątku prowincji i jak z grobu, odsunęty i zapomniany, następuje stamtąd, jakie są losy jego nieśmiertelnej pieśni. Dane mu jest dożyć, że „Marsyliankę” wraz z zwycięską armią Napoleona przebiega wszystkie kraje Europy, że rewolucja lipcowa w roku 1830 znów budzi do życia słowa jego i jego melodie na barykadach Paryża. Zapomnianemu, zaszytemu w zakątku kraju wydaje to się snem i gdy siedemdziesięciosześcioletni starzec w Chotsy le Roi w miera wreszcie w roku 1836 nikt nie zna i nikt nie wymawia jego nazwiska”.

Oto jak często talent rozmija się z powodzeniem, a trud twórczy rzadko, a przynajmniej nierychło, opro mienia blask sławy, która podobnie jak powodzenie jest zazwyczaj tylko przypadkiem i kaprysem.

odpisy str. 7

Muzyka i okolice

Kiedy w artykule o kulturze muzycznej dość surowo i — jak się okazuje krzywdząco — ocenilem akcję audycji szkolnych prowadzonych przez ministerstwo odczuwało się niespodziewanie dużo głosów protestów. Niespodziewanie — bo okazuje się, że dla wielu ludzi sprawa upowszechnienia kultury muzycznej jest sprawą pierwszej wagi, (w dodatku wcale nie jest regulacją ich związaną z zawodem muzyka), a także dla tego, że akcją odważyła się o tak zaszczytnej tradycji. Kiedy jeszcze odczuwało się poszkodowanie trzeba było całej sprawie przypatrzyć się z bliska. Powiem od razu, że zaskoczenie było zbyt przyjemne aby nie spojrzeć jaśniej na sprawę kultury muzycznej naszego społeczeństwa. Nie będę oczywiście twierdził, iż mówiąc o tym, trzeba już być optymistą. Twierdzą jednak, że akcja zawsze słuszną w założeniu jest nareszcie należycie i z poletem realizowana, i że wobec tego muszą się zjawiać jej rezultaty, a nawet że można je już zobaczyć.

Od roku 1954 tzn. od przejęcia przez Filharmonię bydąskiej akcji „Artosu” datuje się szybki jej rozwój. Akcja ta do ubiegłego roku opierała się na programie centralnym; jeśli chodzi o Filharmonię Łódźską, która ma szczególne w tej mierze osiągnięcia, to realizuje ona zatwierdzony z całym uznaniem przez ministerstwo, swój własny program. Filharmonia Łódźska daje około 84 koncertów miesięcznie tzn. około 800 rocznie co jest nawet dla laika licząc imponującą. Bije też chyba rekord zasięgu — ekipy docierają bowiem do najbardziej zapadłych zakątków naszego województwa. Akcja objęta jest młodzieżą liceów pedagogicznych, ogólnokształcących, szkół zawodowych a także niekiedy (w tym wypadku program jest przygotowywany pod kątem maksymalnej komunikatywności) dzieci klas szóstych i siódmych szkół podstawowych. W bieżącym sezonie Filharmonia nasza prowadzi akcję audycji

szkolnych w dwóch cyklach: audycji monograficznych traktujących o kompozytorach, ich kierunkach muzycznych oraz alfabetu muzycznego, a więc nazwiska, terminy muzyczne, gatunki muzyki. Trzeba tu dodać, że przez szkoły akcja audycji szkolnych jest traktowana bardzo poważnie. Młodzi słuchacze prowadzą nawet specjalne notatniki koncertowe. Szkoły w ocenach, które są nadsyłane po każdym koncercie bardzo często podkreślają że audycja została przeprowadzona „metodycznie” (kto zna nauczyciel wie jak wysoka jest ta ocena), wymieniają życzenia co do programu i wykonawców. I choć oczywiście zdarzają się wypadki próśb o muzykę leższego asortymentu coraz częściej bywa, że młodzież chce słyszeć Chopina czy nawet Szymanowskiego a to już przecież są piękne owoce tej w trudnych warunkach prowadzonej pracy. Te skromne przecież jeszcze koncerty traktuje się świątecznie, szkoły proszą o częstsze przyjazdy, młodzież ma swoich ulubieńców, jak w wielkich salach koncertowych rozlegają się owacyjne brawa i wołania o bis. Nie można mieć zbyt wielkich pretensji do dyrekcji Filharmonii, że zajęta bardziej reprezentatywną formą swej działalności akcję audycji szkolnych traktuje trochę jak dziecicę z nieprawego łoża. Ale tym większa jest zasługa tych co tą akcją kierują. W Łodzi zaś kieruje nią znany śpiewak Kazimierz Zagórski.

Tym razem zatrzymamy się w trzech punktach: Tuszyń, Piotrków Bujny. Jedziemy na pięć koncertów. Jedziemy, tzn. jada: Danuta Debichowa, Ewa Plenkowska, wódz wyprawy Janusz Cegiella, Kazimierz Zagórski pilotujący mnie, a jednocześnie jadący na specjalne zaproszenie jednej ze szkół i ja — mający tę akcję zrelekcjonować. Zespół realizuje cykl „Encyklopedia muzyczna”. Dziś terminy i nazwiska zaczynające się na litery O, P, R. Piotrków. Szkoła Ćwiczeń

przy Studium Nauczycielskim. Jej kierownik p. Józef Trzebuchowski z wielkim uznaniem mówi o koncertach szkolnych. Stwierdza, że wychowawcy bardzo je cenią, wspominają dobre koncerty, podkreśla wielką rolę konferansjerki. W małej sali napelnionej dziećmi rozpoznają się koncerty. Obserwuję reakcje dzieci. Słuchają uważnie, zapisują coś w zeszytach, poważnie i mocno biją brawa. Janusz Cegiella mówi lekko, dowcipnie, traktuje ten występ trochę jak lekcję, trochę jak prawdziwy koncert. Nie przesadzajmy — pod koniec coraz więcej dzieci kręci się, są już, tak jak lekcja, zmęczone. Większość jednak z uwagą słucha do końca. Z kronikarskiego obowiązku wypada zanotować, że najbardziej podoba się Danuta Debichowa.

Trzeci koncert w Piotrkowie, a czwarty w dniu dzisiejszym, odbywa się w sali Domu Kultury. Tu przynajmniej warunki są zbliżone do tych, w jakich artyści powinni występować. Publiczność jest poważniejsza, stanowią ją uczniowie klas licealnych. Dziś w programie (notuję z pamięci) terminy: operetka, perkusja, opus, utwory kompozytorów: Rachmaninowa, Paderewskiego, Offenbacha.

Wreszcie ostatni koncert odbywa się w Technikum Rolniczym w Bujnach koło Piotrkowa. I tu czeka nas najserdeczniejsze przyjęcie. Od razu można spostrzec, że koncert jest dla młodzieży i nauczycieli ważnym świątecznym wydarzeniem. Nie wielka sala gimnastyczna rozbrzmiewa gorącymi, burzliwymi brawami. W końcu występuje ulubieniec tej młodzieży Kazimierz Zagórski. Mnożą się bisy. Obdarowani kwiatami po dniu ciężkiej, ale na pewno owocnej pracy, wracamy do Łodzi.

To oczywiście była tylko pobieżna relacja z akcji, która poważnie potraktowana, realizowana z dużym zapalem, jest przyjmowana z uznaniem i bardzo serdecznie przez młodzież i nauczycieli. Warto by otoczył ją jeszcze troskliwszą opieką. Warto by więcej o niej pisać, warto by śledzić rezultaty.



MASZYNA ZAMULAJĄCA

„Sprawa bardzo, moim zdaniem, istotna, to niepotrzebne nagromadzenie suchego dziś przecież materiału z historią literatury odległej czasem historycznym. No i samo ułożenie programu i lektur. Żeby nie być gołosłowną: oto jakich autorów, z ilu epok historycznych mam np. przerobić w klasie ósmej. Wylizcam nazwiskami: Dąbrowska, Broniewski, Nowy, Homer, Owidiusz, Prus, Kraszewski, Niemcewicz. W ogóle częstowanie młodzieży „Starą baśnią” jest żenujące. Przecież to nuda straszliwa! Jestem pedagogiem, a jak mam tym zainteresować moje uczennice, skoro mnie to śmiertelnie nudzi?”

„Spod ławki konfiskujemy czytane na lekcjach chyłkiem Hemingway’a, Camusa, Różewicza, Białoszewskiego, Adolfa Rudnickiego i... Leję. Jestem zdania, że młodzieży starszej należy dać jako lekturę obowiązkową współczesną literaturę światową i polską. Trzeba wprowadzić do programu Sartre’a kosztem Morstina i „Dziwnie” kosztem choć części pamiętników Paska. Oczywiście są to przykłady. Współczesności w szkole powinno być jak najwięcej!”

Te fragmenty wypowiedzi nauczycieli szkół ogólnokształcących cytuję Alicja Lisiecka w opublikowanym przez „Nową Kulturę” a dotyczącym kanonu lektur szkolnych artykule „Maszyzna zamulająca”.

„Nieszczęsny czternasto-piętnastoletni Tadzik czy Pawełek — pisze Lisiecka — dostaje gęsię skórkę przy czytaniu zawitych archaizowanych tekstów średnio-wiecznych i renesansowych. Lekcje języka polskiego poświęcone Modrzeuskiemu odepchną umęczonego ośmioklasistę od organizowania sobie czasu wolnego przy pomocy książki. Z kolei

późniejsza przymusowa lektura niezbyt wybitnych artystycznie powieści Hena popchnie młodych adeptów do narodowej literatury w kierunku swobodnego wyboru znacznie bardziej atrakcyjnego Maya czy Conan-Doyle’a.”

Stąd konieczność przedyskutowania kanonu lektur, obowiązujących młodzież w szkole średniej — i konieczność dokonania zmian w tym kanonie. Zmian, oczywiście, na korzyść współczesności, albo — mówiąc szerzej — na korzyść literatury, która może nauczyć młodzież rozumienia naszej współczesności, a którą ta młodzież będzie mogła polubić.

POEZJA MURZYŃSKA

W tym samym numerze „Nowej Kultury” znalazłem godne polecenia — i to nie tylko wielbicielom poezji, ale także tym, którzy interesują się kulturą Czarnego Łądu — przekłady z poezji murzyńskiej, dokonane przez Zbigniewa Stalarkę. Odradziłbym przecież lekturę tych wierszy tym wszystkim, którzy mają skłonność do zachłystywania się prymitywizmem i autentyzmem sztuki ludowej. Wychowani w kulcie polskiej pieśni obrzędowej, będą bowiem szukać w tej poezji wrzuseń elementarnych, pierwotnych źródeł inspiracji, prymitywnego za chłystnięcia się sprawami życia i śmierci. I rozczarują się, nie znajdując tego, czego szukali. „Lament Żalobny Fangów” czy „Śpiew Mosich o strzelbie” można oczywiście traktować jako przekłady poezji skrajnie ułturalnej, powstającej na granicy obyczaju i sztuki, wywodzącej się z tańców magicznych i czynności obrzędowych. Czynności obrzędowe są jednak, jak się zdaje, w wysokim stopniu skonwencjonalizowane, i równie skonwencjonalizowana jest towarzysząca im sztuka — poezja. A ponieważ świadomość konwencji i jej nasilenie zaświadcza o przejściu kultury w stan cywilizacji, te wiersze są świadectwem cywilizacji nie mniej może niż nasza świadomość siebie.

AKADEMICY

We „Współczesności” Jerzy Afanasjew, poeta i satyryk, proponuje — ze śmiertelną powagą — przyjęcie do Polskiej Akademii Nauk obywateli poetów Broniewskiego, Słonimskiego i Przybosa. Nie mam nie przeciwko pomysłowi Afanasjewa, myśl o jednym, czy dwóch, czy nawet trzech poetach, zasiadających w fotelach akademików, wydaje mi się warta rozważenia, poeci Francuzów zasiadają w Akademii Francuskiej, dla czegoż więc nasi — nie mający własnej Akademii Literatury — nie mieliby zasiadać w PAN? Boję się wszak że, że przyjęcie do Akademii trzech poetów uznano by w Polsce za rozwiązanie polityczne i — co tu dużo gadać — krzywdzące. I aby krzywdę wyrządzoną poetom naprawić, przyjęto by jeszcze do Akademii Mieczysława Jastruna, Pawła Hertzę i Seweryna Pollaka. A potem przyjęto by Zbigniewa Herberta, Stanisława Grochowiaka oraz Mirona Białoszewskiego. Potem przyjęto by poetów X., Y., Z. Poem przyjęto by Jerzego Afanasjewa. A stąd już tylko krok do katastrofy, ponieważ Afanasjew pisze:

„Gdyby przez kilka wieków finanse wydatkowane w świecie na przemysł, wydane być mogły na poezję, byłibyście świadkami hut i fabryk poezji, szalonych wynalazków, które tylko w jednym procentie oświetlały głowy naukowców. Widzielibyście podręczniki, których wiersze pisane byłyby wzorami matematycznymi, do widzielibyście się co to jest Zegar Życia i „r” życia, Czas Atomowy i ile razy jest mniejszy od naszego, z równą łatwością obliczylibyście ślad geometryczny po rowerze czy pędzącym punkcie, jak po istnieniu człowieka”.

Ta wizja wydaje się Afanasjewowi wysoce kusząca. Mnie wydaje się ona wysoce upiorna, i naprawdę nie chcę się dowiedzieć, co to jest zegar życia i czas atomowy, jeśli ma to iść w parze z „wygnaniem z Akademii naukowców i osadzeniem w niej poetów.”

ERAZM

TADEUSZ PAPIER

Pochwała klimatu

Jakiego klimatu? Twórcę, J. Weźmy dla przykładu taką Oleśnicę.

Oleśnica — zaznaczam, że mowa tutaj nie o przastym grodzie śląskim — leży w południowej kielecczynie, niedaleko słynnego Pacanowa. Oleśnica jest małą osadą, głośną na cały powiat z cechu murarzy. Nie tylko zresztą na powiat, na kilka powiatów — ktokolwiek w bliższej lub dalszej okolicy buduje dom, udaje się o pomoc do Oleśnicy. Mimo, że murarzy jest w Polsce coraz więcej, w każdej wsi trafi się ktoś, kto posiada tajemnicę kielni i pionu, murarze oleśnicy nie stracili nic na opinii, mają ustaloną markę, która wciąż błyszczy, jeszcze długo nikt ich nie pobije. Dziwie się, że w encyklopedii nie wymieniają nazwy tej

osady. Pacanów przecież doczekał się swojej literatury. Dodam jeszcze, aby zwrócić uwagę na to miasto (Oleśnica w opinii okolicznych wsi jest miastem i słusznym), że murarze oleśnicy nie są zwyczajnymi rzemieślnikami. Zawód ten jest tam dziedziczny, syn po ojcu obejmuje kielnię, przekazuje ją z kolei swojemu synowi.

Być może, że murarstwo kwitło w Oleśnicy od początku istnienia tej osady, być może, że w średniowiecznym Krakowie pracowali także murarze z Oleśnicy. Ażkolwiek administracyjnie Oleśnica należy dzisiaj do Kielce, to jednak Kraków jest bliższy, elementy strojów krakowskich tutaj przeważają, „czerwona czapka, rogatywka z pawimi piórami, wyszywana kierezyja i pas z brzęczącymi kółkami, niebieskie gorsety, wzorzyste suknie, jaskrawe wstążki, piśmi krakowskie słychać, — ym bardziej związki te musiały być silniejsze w przeszłości.

Otóż murarze oleśnicy nie są zwyczajnymi rzemieślnikami, są artystami. W tym roku umarł murarz nazwiskiem Siemiński. O Siemińskim chcę napisać osobne studium, wart jest tego. Pisząc o murarstwie w ogóle, a o tym, które reprezentuje kielnie, w szczególności, nie sposób nie wspomnieć nazwiska tego murarza. Był to prawdziwy mistrz. Na jego szalwie figuruje niejedno ciekawe osiągnięcie. Zawalił się na skutek działań wojny strop w gołtyckim kościele i tym, który go na nowo odtworzył, był Siemiński. Było z tego powodu nieco szumu, przyjechała komisja złożona z architektów. Po gruntownym badaniu orzeczono, że lepiej nie można było tego stropu odbudować. Podziwiano murarza, który jakby na nowo zawiesił w powleczonym pięknie sklepieniu krzyżowo-żebrowe, nie zatracił nic z pierwotnej ostrości luku, potrafił odgadnąć, jak należy rozłożyć ciężar sklepienia na zewnątrz na szkarpy i łuki oporowe. Nie głośnie pochwały roboty dyletanckiej, „na oko”, mimo braku formalnego wykształcenia murarz Siemiński nie był delatantem w swojej dziedzinie. Miał talent, który rozwijał przez długie lata praktyki. Z pewnością nie interesował się tym, kiedy i skąd przywędrowała do nas architektura gołtycka, być może, na jakiejś odbitej ogląd fotograficznej — „szczęśliwego” zabytku gołtyckiego — kościoła opactwa Saint-Denis pod Paryżem, fotografie innych;

sławnych katedr, faktem jest, że poznał ducha tej konstrukcji. Mógł uchodzić za specjalistę i takim był niewątpliwie, przyjeżdżano po niego z Sandomierza i z Wrocławia.

Ten rozdział o Siemińskim nie oznacza, że Oleśnica składa się z samych Siemińskich, to byłaby przesada, znajdują się tam i murarze od pieców, prostych domów chłopskich, ale Siemiński wyrastał w atmosferze, użyłmy tego wyrażenia, twórczej, w klimacie, który sprzyjał jego naturalnym zamiłowanym, Oleśnica pozostanie sławna w tej dziedzinie. Piszę zaś o tej osadzie, ponieważ wydaje mi się ona ciekawym i charakterystycznym zjawiskiem na tle atmosfery, jaka panuje dzisiaj w naszym kraju, chciałoby się w tym zestawieniu potraktować Oleśnicę jako symbol. Ale czy tylko Oleśnicę, czy tylko tę typową osadę murarzy?

Polska jest dzisiaj wielkim placem budowy, ta prawda zdegradowana została do sloganu, powiedzą z pewnością kiedyś o tym okresie, że zastali Polskę zrujnowaną, zostawili murowaną. Ale i ten powszedni slogan mówi dużo o klimacie, jaki panuje w naszym kraju, być może, że ów klimat sprzyja rozwojowi talentów różnych Siemińskich.

Wyjście którakolwiek drogą z Łodzi wychodzącą na północ, południe, wschód, zachód. Zatrzymajcie się w którejkolwiek miejscowości,

Tu przeprowadza się elektryfikację wsi. Tu przygotowuje plany do elektryfikacji. W latach 61-65 zabłysła żarówka w Anielinie, Widawie, Marciniowie, gdzie jeszcze, gdzie jeszcze? Tu oddaje się do użytku nowe szkoły, domy ludowe i świetlice jak w Parzęczewie, Helenówce, Dobrogostach, tu powstają nowe szpitale, nie ma miejscowości, które nie byłyby ogrodzone rusztowaniami, widąc cegły, wapno, cement.

W najbliższym pięcioleciu podwoi się ilość izb mieszkalnych w Łodzi. Budują się miasta, miasteczka, wsie, osiedla. W Zychlinie powstaje duży blok mieszkalny, w Ozorkowie w latach 58-59 wybudowano pięć bloków mieszkalnych, ludzie budują się w Krośniewicach, w Łęczycy wytypowano tereny pod budowę jednorodzinnych domków, ludzie kupują działki, wznoszą domy.

Czy w Łódzkiem pracuje jaki murarz z dalekiej Oleśnicy, która leży obok legendarnego Pacanowa? Być może, że znajdują się tutaj i cieśniacy, ale nie w tym rzecz. Oleśnica, miasto zawodowych murarzy musi być potraktowane jako symbol, nie piszemy reportażu z Oleśnicy, piszemy na temat, który inspirowała Oleśnica. Przychodzi na myśl ta mała, zagubiona w Kieleckiem osada, kiedy czytamy sprawozdania rad narodowych, kiedy gazety odpowiadają na pytania, jak wypełnia się postulaty wyborców. Co uderza w tych sprawozda-

niach, planach na przyszłość, niezwykle rozmach budownictwa. To jest prawda, którą, sprawdzić można naprawdę, doświadczenie. Budują murarze, ale nie tylko oni, Murarz Siemiński, któremu poświęciliśmy parę zdań odgrywa w tym wypadku również funkcję symbolu. Iu jest Siemiński w Polsce? Jedziemy drogą, mijamy nowo wznoszone domy, fabryki, szkoły, świetlice, na rusztowaniach pracują murarze, kładą cegły, wznoszą coraz wyższe mury, ulepszają konstrukcję, może między nimi znajduje się nie znany nikomu murarz, który nosi w swoim sercu plany, a jutro zadzwoni nimi swoich współtowarzyszów?

To nie jest pochwała zawodu, to jest pochwała klimatu, który sprzyja rozwojowi talentów, narodziłom wszystkiego co tworze, nie tylko w Łodzi, w Łęczycy, Kutnie, Sieradzu, ale w dalekiej Oleśnicy także.



str. 8 **odqtosy**

W odcinku trzecim von Hagena, wybitny znawca pradziejów Meksyku, opowiada o Toltekach i ich zaginionej stolicy.

nie więcej niż dwadzieścia mil na południe w prostej linii od Curnavaca, w pobliżu drogi do Taxco i wybrzeża Pacyfiku, świątobliwy padre Jose Antonio Alzate odnalazł ruiny jakiegoś wymarłego miasta. W 14 lat później Alzate wydał ilustrowany „Opis starożytności miasta Xochicalco”. Zbiegło się to w czasie z odkryciem w fundamentach katedry w mieście Meksyku ogromnego kamiennego kalendarza Azteków. Zainteresowanie przeszłością kraju ogromnie się wzmogło i w roku 1803 zjawili się w Meksyku młody Niemiec, Aleksander Humboldt (słynny później uczonego, którego imieniem nazwano berliński uniwersytet). Nie dotarł on wprawdzie do Xochicalco, ale zabrał ze sobą dzieło ojca Alzate i niezbyt zresztą dokładne rysunki Fernanda Agüery, poczem opublikował je w swoim słynnym „Atlasie Ilustrowanym”. Był to już rok 1810.

Zwycięstwo XVI-wiecznego reportera

I w końcu Tula się objawiła. Tam, właśnie gdzie umiejscawiali ją opisy ojca de Sahagun, Archeologowie odkopali starannie rzeźbione i malowane ściany, wielokondygnacyjne piramidy z pozostałościami świątyni na szczycie, z symbolem Quetzalcoatl — dwoma kamiennymi, malowanymi smokami, wysokimi na przeszło cztery i pół metra, spełniającymi rolę kariatyd w fasadzie budynku. Odkopano rzeźbione filary w świątyni wojowników, potężne kamienne figury i odpooczywającą postać, która beznamytnie spogląda w przestrzeń, dzierżąc na kamiennym tacy drgające ludzkie serce, przeznaczone bogom na ofiarę. Straszliwa ta postać zachowała się w identycznym kształcie w późniejszej stolicy Azteków, pojawiła się też w jukatańskich siedzibach Majów, 1500 kilometrów na południe. Potwierdzają się w ten sposób wędrówki Tolteków w dwunastym wieku, kiedy to po wielu wiekach znowu ruszyli w świat i zaatakowali posady spokojnie żyjących dotąd Majów. Stąd też w Chichen Itza na Jukatanie znaleźli uczeni architekturę — toltecką.



Maska w stylu Azteków

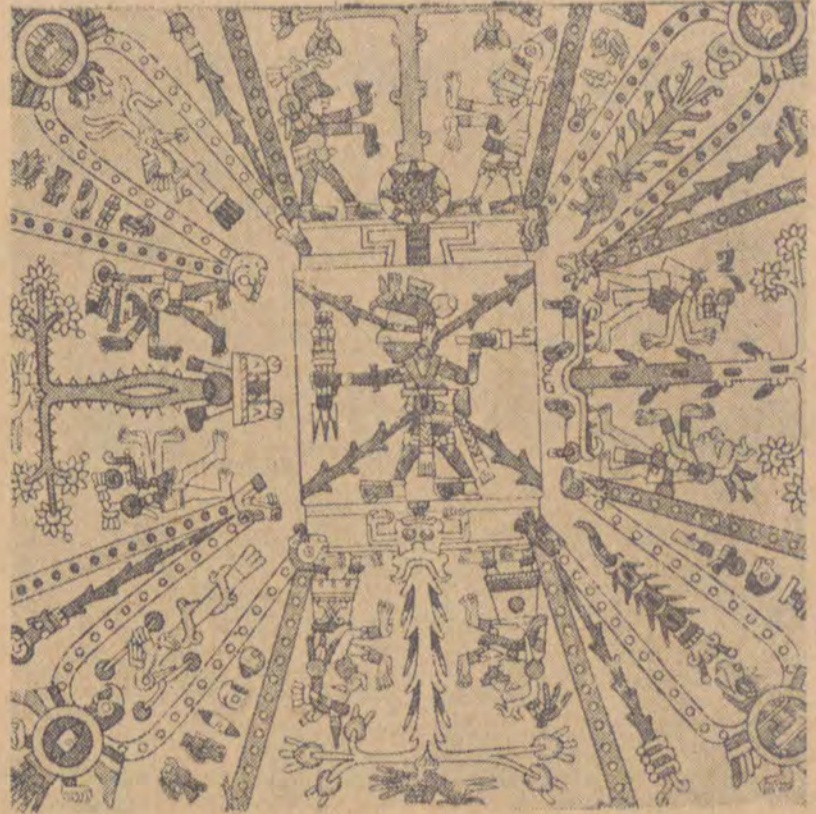
Zarówno Tula jak Xochicalco Toltekowie zbudowali w latach swej największej potęgi — z końcem pierwszego i początkiem drugiego tysiąclecia naszej ery. W czasie, gdy na terenie Meksyku rozwijały się te dwa nowe wspaniałe miasta, Europa znajdowała się pod panowaniem średniowiecznego prymitywu. A Toltekowie przeżywali swoje apogeum. Mieli już wtedy od dawna pismo ideograficzne, spisy plemienne, księgi z papieru amatl, ukazujące ich zadziwiająco kosmogonię z przyjętym później przez Azteków 52-letnim cyklem, z magicznym systemem wróżbiarskim, skonstruowanym na bazie kalendarza 260-dniowego i z „normalnym” księgowym kalendarzem na użytek powszechny. W ich rysunkach przetrwały pełne kroniki panujących w XVI wieku, „Przelumaczono” je na pisemny, dwujęzyczny zapis, dzięki któremu znamy imiona wszystkich tolteckich władców! Pod rękami ośmiu z nich Toltekowie wladali całym krajem od Jalisco

Ojciec Bernardino de Sahagun był wręcz znakomitym reporterem — z grubo większym rozmachem opisywał to, czego nie widział, niż to, co dane mu było oglądać, i sama ta umiejętność predystynowała go do pracy we współczesnych magazynach ilustrowanych. Nie na tym jednak polegała główna jego zaleta — hiszpański mnich niezwykle sumiennie zbierał informacje o ginącym świecie, dawnego Meksyku, który w owych latach właśnie dogorywał. „Reportaże” ojca Sahagun dostarczały nam bezcennych wprost wiadomości, nie mówiąc już o wielu rysunkach, jako że nasz archaiczny sprawozdawca dbał o dokumentację nie gorzej od współczesnych rycerzy fotografii. W pismach ojca de Sahagun przetrwał opis legendarnego miasta Tolteków — Tollan (Tula). Stały tam „bogate pałace z zielonego jaspsu i białych oraz czerwonych muszli”, „boża osiągały wzrost ludzki”, „na plantacjach rosta bawełna we wszystkich kolorach, poleteżże zaś pełne było zawsze plectwa o drogocennych włóknach”.

Przez długi czas nikt wierzyc nie chciał w opisy ojca de Sahagun, zresztą jak dziś często nie dowierza się reporterom. W miejscu bowiem, gdzie miała się znajdować mityczna Tula, znajdowano tylko wyschlą, spieczoną słońcem ziemię, pokrytą tumanami kurzu... I oczywiście, nie mogli być mowy o żadnym drogocennym plectwie w pobliżu; po prostu dlatego, że w ogóle żadne plectwo nie nawiedzało tej okolicy. Wprawdzie od upadku Tuli w roku 1116 upłynęło sporo czasu i ewentualne ślady miały kiedy zagaść, mimo to nikt nie brał poważnie przekazów starego reportera.

Ojciec Alzate znajduje „Miejsce kwiatów”

Allści w roku 1777, na wypalonych słońcem szczytach nagich wzgórz, leżących



Fragment kalendarza Azteków

co na północy do Cuernavaca na południu.

Owa „historia” opowiada także o wyszukanych rytuałach tolteckiej religii i przytacza podanie o kobiecie, znanej pod imieniem Szocitli, która spopularyzowała wśród Tolteków przyjemny napój znany dziś pulk, produkowany ze sfermentowanego soku rośliny maguety.

Nosiłi Toltekowie stroje bawełniane, świadczące o kontaktach centralnego meksykańskiego plectwoży, gdzie bawełna rosła nie chce, z cieplejszymi okolicami kraju. W razie chłodu mężczyźni ubierali się grubiej, a kobiety wkładały luźne tuniki — ulpillis i owiane wokół bioder spódnice. Wodzowie Tolteków nie wyróżniali się strojem, może tylko większą nieco jego starannością. Wojownicy używali takiej samej broni jak tysiąc lat potem wojownicy Azteków i nosili tak samo zdobione zbroje z... bawełny. Kapłani zaś szalęcznie do kapłanów aztekich, byli brudasami, ubrani w czarne nie przynę nigdy szaty, którym zamiatali ziemię za sobą.

Z tym, że przeciwni Toltekowie już dwa tysiące lat temu budowali temaskale, domowe łaźnie parowe, które zresztą i później, u Azteków, były rzeczą codziennego użytku.

„Toltek” znaczy — artysta

W dolinę Anahuac, gdzie później osiedlili się Aztekowie, przywiódłi Tolteków kapłan-wróźbita; dopiero po

długiej wędrówce trafili na tę wygodną, urodzajną dolinę. Oczywiście początki tej historii to rzecz mitów i baśni. Jedno wiadomo, że gdzieś na dwieście lat przed naszą erą, wtedy mniej więcej, kiedy Rzymianie wykończyli Kartaginę, zaczęli budować Toltekowie o 50 kilometrów na północy zachód od dzisiejszej stolicy państwa swoje wspaniałe „Miejsce Bogów”: Teotihuacan. Pozostałości tego wielkiego miasta obrzędowego zajmują przestrzeń ponad 20 kilometrów kwadratowych! W centrum znajdowała się kolosalna piramida Świątyni Słońca, przy której piramidy egipskie wydają się skromnymi budynkami. Teotihuacan zapoczątkował całą tradycję miast — świątyni starego Meksyku, a Toltekowie pozostali w pamięci późniejszych władców doliny Anahuac jako niedoścignieni mistrzowie budownictwa. Stare pomniki poszły w ruinę, ale jeszcze w czasach azteckich każdy artysta, który mógł się poszczycić doskonałością swej sztuki (dotyczyło to głównie malarzy i pisarzy — tlakuiło), zwany był „Toltekiem”.

Z końcem pierwszego tysiąclecia naszej ery zaczął Teotihuacan tracić swą pierwszorzędne znaczenie na rzecz nowych miast — Tuli i Xochicalco; ale nawet wówczas, kiedy Toltekowie powędrowali na południe, a w ich domeny ściągnęło plemię Cziczimeków którzy zawiadnęli resztkami dawnego imperium, tradycje kultury tolteckiej przetrwały. Cziczimekowie roz-

plynęli się w chaosie, który zapanował na centralnym plectwoży między 1100 a 1300 rokiem; z chaosu tego wyłoniło się państwo Azteków, a dzięki nim zapoczątkowany został tak zwany przez uczonych „wiek kultu ralnei jedności”. I właśnie w tej „jedności” uformowanej ze wszystkich kultur wcześniejszych najbardziej poczesne miejsce zajmowała — toltecka.

Uśmiech Totonaków

Inne plemiona, których ziemie weszły później w skład imperium Montezumy, nie miały już takiego znaczenia dla historii Azteków, jak Mikstekowie czy Toltekowie. Ale warto choć wspomnieć o Totonakach, których kultura wcale nie była młodsza od tolteckiej a przetrwała dłużej, bo aż do najazdu Hiszpanów! Warto choćby dlatego, że ich sztuka bardzo różniła się od twórczości Majów czy Azteków. Byli to ludzie pogodni, rozmiłowani w zbytku. Ich gliniane figurynki, znajdowane przez archeologów, mówią o radości życia, a „śmiejące się głowy” stanowią częsty motyw architektoniczny. Totonakowie byli bez wątpienia sympatyczniejsi od swych pobratymców, surowych i skłonnych do mistycyzmu. Nie oni to jednak zapisałi te rozdziały historii, które najbardziej interesują uczonych i... nas. Skłonność do uśmiechu nie zawsze gwarantuje wysokie miejsce w dziejach ludzkości, a w każdym razie nie gwarantowała go w starożytnym Meksyku.

BERZY WALEŃCZYK

Książka o konspiracji

Chłopcy z Marysina zaczęli od minimum. „Akcja z gwóźdźkami” polegająca na rozrzuceniu gwóźdźki i opłoków metalowych na szosach podmiejskich, którymi przejeżdżały niemieckie samochody, karteżki z napisem: „Cześć bohaterom! Niech żyje Polska! na afiszach z wyrokiem na „polskich bandytach”, rozwalanie gablot z SS-mańskimi fotografiami — to były pierwociny akcji konspiracyjnej. Warneńskiej udało się obraz konspiracji chłopców z Marysina, konspiracji początkowo niedojrzałej, przypominającej zbórki harcerskie, podchody, wycieczki ogniska.*)

skowy pas. W kaburze tkwił pistolet. Nie przyjdzie już z pustymi dłońmi do „Promienistych”. Hela Filakówna zaczęła od spontanicznego zrywania afiszy, zachęcających Polaków, by dobrowolnie i jak najliczniej zgłaszali się do pracy w głębi Rzeszy. Treść pierwszego numeru „Promienistego” będzie jeszcze skromna. Składać się będą na nią krótkie wezwania do walki, prawo „Promienistych” ułożone na wzór prawa harcerskiego oraz artykułki wyłuszczający cel, dla którego powstała ta organizacja. Maszyna, na której odbijają „Promienistego”, to okropny urchot.

Niedojrzała konspiracja hartuje się szybko w ogień

walki i sabotażu i staje się dorosła. „Cóż ty sobie myślisz — mówi Walas do syna Mietka — czego to się zachciecia konspiracji, co, patrzajcie go jaki dzielny... Nos gdzieś wytkaasz, a z przeproszeniem mleko pod nosem”. Ale później zakonkluduje: „Cwaniacy, beze mnie daj sobie radę”. Przecinanie opor w samochodach, zawieszanie tabliczek z polskimi nazwami na Marysinie ulotki z wezwaniem do walki, zbórki w Lesie Lagiewnickim, ewakuacja z terenownawstwa to był początek. Potem przyszły pierwsze kontakty. Sprawy grupy „Promienistych” omówiono w kierownictwie Obwodu Łódzkiego Polskiej Partii Robotniczej. Zadecydowano, aby chłopcy pozostali „Promienistymi”, skoro sobie taka nazwa wybrałi, ale włączono ich jako grupę młodzieżową do „Gwardii”.

Front Gwardii Ludowej to były maszyny popsute w fabrykach, zniszczone środki transportu niemieckiego, jak najgorsza produkcja w fabrykach zbrojeniowych. Siedmioosobowa grupa „Promienistych” rwie się do

walki, do partyzantki, z czasem jednak przekonuje się, że w takim mieście jak Łódź można nawet więcej zdziałać niż w lesie. Spontanicznie powstała oddział się pod komendę Gwardii Ludowej i stają się żołnierzami Gwardii, która im niesie pomoc. Akcje sabotażowe będą wzrastać. Zostaną spalone zapasy zbóż we wsiach Kleki i Srebrna pod Łodzią, skąd hitlerowcy wznegli polskich chłopów osadzając bauerów przwbwch z głębi Rzeszy, zostanie dokonany napad na sklep z bronią przy Pietrkowskiej 83 gdzie w ciągu 55 minut zdobyto wiele pistoletów i amunicji, nie ponosząc żadnych strat. Autorka pokazuje przekonująco dramatyczną walkę młodych konspiratorów z hitlerowskim okupantem aż do tragicznego finału walki pod Głównem, gdzie ginie Cenek, młody doświadczonego komunista „Jeden z tych, którzy w podziemnej Łodzi molali pierwsze nici konspiracji” i inni „Promienięci”, którzy zdołali umknąć przed gestapo. „Obaj Walasowie byli ranni, Antoni poważnie. Mie-

Tam, gdzie krzyżuje autentyczne wydarzenia z fikcją powieściową, gdzie opuszcza fotografie, pogłębia psychologię bohaterów — góruje powieść „Chłopcy z miasta Łodzi” to książka o grupie, która dażył, do tego, aby szkodzić Niemcom na każdym kroku, chociaż miała znikomą początkowo środki, usiłowała walczyć tak jak umiała. Leszek nie opłakuje bezowocnie poległych, wraca na posterunek do Łodzi, aby tu walczyć i przetrwać. Zaznane kleski będą teraz drogowskazem w postępowaniu.

Książka jest na ogół udaną relacją z losów „Promienistych”, zwłaszcza że zdarzające się tu i ówdzie niedoskonałości faktury zostają okupione nieustanną czunością autorki aby nie zaprzepaścić prawdy historycznej.

*) Monika Warneńska, „Chłopcy z miasta Łodzi”.

odgłosy str. 9

ZSRR włącza się do Interwizji

Jak doniosła w ubiegłym tygodniu prasa codzienna radziecki ośrodek TV w Kaliningradzie otrzyma już wkrótce połączenie z Gdańskiem, a tym samym włączy się do systemu „Interwizji” jednocześnie — jak wiadomo — telewizja krajów demokracji ludowej.

Co za tym idzie Związek Radziecki osiągnie również

kontakt z „Eurowizją” (system telewizji zachodnio-europejskich), a ewentualne transmisje będą szły dość skomplikowaną trasą Kaliningrad — Gdańsk — Warszawa — Katowice i tak dalej. Sprawy palącą stają się tedy usprawnienie połączeń na trasie Gdańsk — Warszawa, gdzie instaluje się obecnie importowane ląca francuskie, a w dalszej perspektywie usprawnienie połączeń na trasie Warszawa — Katowice.

Beda to łąca pozwalające na dwustronną wymianę programu, z tym jednak, że — jak na razie — z wyłączeniem tranzytu. Innymi słowy w najbliższym czasie ośrodki polskie przekazując program radziecki na zachód bądź odwrotnie będą musiały z niego korzystać, bądź w ogóle zawieszają program; trudno wątpić, że pierwsza z tych ewentualności okaże się atrakcyjniejsza.

Byłe tylko te łąca nie nawałaty — jednocześnie z doniesieniem prasowym o włączeniu się ZSRR do „Interwizji”, mieliśmy miły komunikat (sprawdzony zresztą na własnej skórze) o awarii łąca w Mszconowie, która w ubiegłą środę odcieła od programu warszawskiego cała południowo-zachodnią Polskę z Łodzi włącznie.



Autor koncepcji „Dywaniki” red. Marian Jezewski
Fot. L. Łyszczkowski

Z pogranicza radia i telewizji

Wędrowki z „Dywanikiem”

Już po raz piąty w drugą sobotę miesiąca rozległ się na falach eteru sygnał nowej audycji estradowej Polskiego Radia „Programu z Dywanikiem”. Tym razem audycję nagrano w Piotrkowie Trybunalskim a w miłym koncercie uczestniczył reporter „Odgłosów”, który przedstawia obok mały serwis zdjęciowy. Zamieszczamy te zdjęcia dla udokumentowania tezy wysuniętej przez telewidzów, postulujących by transmitowano w telewizji programy rozrywkowe Polskiego Radia. Jak widać „Program z Dywanikiem” jest imprezą dość wizyjną.

Teraz parę słów o audycji. Koncepcja radiowego zespołu estradowego wędrującego od podwórka do podwórka, od miasta do miasta z dywanikiem zastępującym teatr zrodziła się w Łodzi na ul. Narutowicza 130, w małym pokoiku redakcji estradowej radia. Pomyśl był rezultatem zaobserwowanej potrzeby takiej właśnie audycji przeznaczony dla miejskich środowisk robotniczych. „Podwieczarek przy mikrofonie” siedzi u siebie w kawiarni „Europa” w Warszawie i stamtąd obserwuje kraj, „Wesoly Autobus” jeździ od wsi do wsi, „Dywanik” jest audycja podobna do dawniejszej „Przy sobocie po robocie”. Ma ambicje mówić

o danym zakładzie o jego ludziach, o problemach miasta czy fabryki w sposób prosty i dowcipny. I robi to. Chce za każdym razem przedstawić nowe teksty satyryczne i nowe piosenki w wykonaniu najlepszych znanych i wchodzących gwiazd estrady (a odkrywa je z powodzeniem). Ma ta audycja stałe postacie: świetną rodzimą Zagryziaków, Duetto excentrico, powoli powoli z plany zamierzeń wylaną się kształt audycji: popularnej i dostępnej dla szerokiego rzesz odbiorców w mieście i na wsi.

Po audycji piotrkowskiej, która wkrótce zostanie powtórzona na łódzkiej antenie w programie lokalnym, następnym „Dywanik” gościć będzie w Głyczku i mówić o mazurskiej wiosnie, a jeszcze następnym u hutników. (aw.)

Zdjęcia W. Machejko



Pełne ekspresji piosenki śpiewa Ludmiła Jakubczak.



Para doskonałych artystów estradowych Janina Jaroszyńska i Włodzimierz Skoczylas w skeczu strażackim.



Zdzisław Słowiński, aktor TN z Warszawy wykonuje nową piosenkę J. Słowikowskiego i P. Herlita „Karnawał w małym miasteczku”.



„Duetto excentrico” poszerzone o jedną osobę — małą piosenkę, którą kreuje Zofia Grabińska. Panowie to Jerzy Bielenia i Lech Ordon.

Zenon Kliszko w TV

W ubiegły czwartek 16 bm. Telewizja Warszawska nadawała kolejny program z cyklu „Spotkania ze współczesnością”, w którym udział wziął członek Biura Politycznego KC PZPR Zenon Kliszko.

Program nosił charakter bezpośredniej rozmowy i tyczył różnorodnych problemów związanych z pracą Sejmu i pracą posta.

Ze strony dziennikarzy w audycji wzięli udział: Ewa Stocka, Henryk Korotyński, Edmund Osmańczyk, Zdzisław Cichonowski i Eugeniusz Tarnawski.

1.000 x „Dziennik Telewizyjny”

Nie tak dawno Dziennik Telewizyjny obchodził mały jubileusz tysięcznej audycji.

Mieliśmy do niego na przestrzeni lat szereg poważniejszych i mniej poważnych prejszy, zarzucaliśmy mu — i nie bez racji chyba — szlampowość z jednej, a „radiowość” z drugiej strony; trzeba jednak przyznać, że powolna ewolucja jakiejś ulegał, wyszła mu w rezultacie tylko na korzyść.

Z chwilą gdy wzrosła operatywność realizatorów Dziennika, gdy znikł sztuczny i mechaniczny podział na część „czytaną” i „wyświetlaną”, a pewne formy i postacie (jak na przykład popularny Wicherok) zadomowiły się w nim na dobre — Dziennik stał się audycją nie tylko dobrą, ale chyba prawdziwie popularną.

Szczególnie programy sobotnie i niedzielne wzbogacone materiałem filmowym z całego tygodnia, staranne wydanie specjalne, i w ogóle wszystkie okazjonalne pozycje mogą podobać się odbiorcy.

Są, rzecz jasna, również i słabsze wydania Dziennika, ale obowiązująca ostatnio zwięzłość wypowiedzi i wy-

rażna dbałość o unaouczelnienie możliwie wszystkiego, o czym się mówi, sprawiają, że możemy być chyba już z obecnej formy Dziennika najzupełniej zadowoleni. Oby inne audycje informacyjno-publicystyczne stały przynajmniej na tym poziomie.

Dość dziwna historia

W ubiegłym tygodniu Warszawa nadawała widowski pt. „Pastwisko na Deborance”. Spektakl wyreżyserowany przez Stanisława Wohla mimo interesującej roli Swiderskiego raczej nie zachwycał i nie byłoby się nad czym specjalnie rozwodzić, gdyby nie fakt, że został on nadany z telerecordingu (o czym telewizja przeczornie nie zawiadomiła widzów), co znakomicie obniżyło techniczną stronę audycji, odbierając jej przy okazji pozycje jakiejś autentyczności.

W dodatku nie przypominamy sobie, aby „Pastwisko na Deborance” szło kiedykolwiek „na żywo” — niepewni własnej pamięci przejrzelismy nawet komplety gazet szukając innych recenzji, ale i tam prócz zdziwienia nie znaleźliśmy ani słowa świadczącego o tym, jakoby sprawozdawcy

wspomniana pozycje już kiedyś widzieli.

Mozemy się oczywiście wszyscy myśleć, mogło się również zdarzyć że już po nagraniu telerecordingu choroba jednego z wykonawców uniemożliwiła normalne przegrywanie audycji i TV wybrała po prostu zło mniejsze, niż odwołanie widowiska — sądzimy jednak, że dobre obyczaje nakazują zawiadomić widzów, na czym rzecz polega.

Kto bowiem nie zorientował się, że to telerecording, niewątpliwie rozpoczął majstrówkę przy aparacie starając się poprawić odbiór, (aparatu rozregulował, a potem wygłosił szereg niepoehlebnych sądów na temat łącz i polskiej techniki w ogóle. A tymczasem zapis telerecordingowy na całym świecie stoi jeszcze dość nisko i w użycie wchodzi nowe, precyzyjniejsze metody zapieju, niestety, o wiele bardziej kosztowne. Dopóki jednak testujemy na telerecordingu zdania — bardzo prosimy, aby nas o jakowymkolwiek zawiadomić.

„Hajże na stolicę”

W ubiegły piątek nie bez zadumy oglądaliśmy retransmitowany z warszawskiej „Sireny” program pt. „Hajże na stolicę”. I znów rzecz nie w tym, czy program był świetny czy kiepski, a raczej w owym uporczywym i celnie pomysłanym wygrzaniu przez warszawskie teatry sentymentów mieszkańców stolicy do swojego miasta.

Są sztuki, wodewile, filmy i piosenki o Warszawie — są i zawsze cieszą się powodzeniem. A tymczasem gdyby nie „Pstrąg” ze swoim ostatnim programem, w piętnastoletnim dorobku teatrów łódzkich mielibymy tylko i to mocno podejrzaną artystycznie składankę na temat łódzkie — mowa o „Zapustach na Bałutach” zrealizowanych swego czasu przez Teatr im. Jaracza.

Czy to naprawdę nie daje nikomu niczego do myślenia?...

Teresa Szmigiel



Z niejakim opóźnieniem przynosimy zdjęcie z wcale udanego magazynu filmowego „Kłapa” przygotowanego przez ośrodek łódzki. W „Kłapsie” wzięło udział kilku popularnych aktorów, m.in. Leon Niemczyk i Teresa Szmigielówna, znana

nam z wielu filmów — m.in. z „Bazy ludzi umarłych”, „Pociągu” i ostatnio występłanej komedii „Szczęściarz Antoni”. Gwoli lokalnej ambicji dodajemy, że Teresa Szmigielówna jest absolwentką łódzkiej PWST.

- ### Program na najbliższe dni
- 23. III. 61 — CZWARTEK
 - 11.00 Program szkolny: Język polski: „Kochanowski” — człowiek renesansu” (W)
 - 11.30 Przerwa
 - 17.00 Program dla dzieci: 1) Filatelistka, 2) „Szymon Kobylński uczy rysować” (W)
 - 17.45 P.K.F. (L) lok.
 - 18.00 „Moje i nasze” rep. public. dla młodzieży (K)
 - 18.30 Program rozrywkowy (K)
 - 18.55 Program publicystyczny (L) lok.
 - 19.10 „Znaczący pocztowe” film krótkometr. prod. radzieckiej (W)
 - 19.30 Dziennik telewizyjny (W)
 - 20.00 „Fakty i poglądy” progr. public. (W)
 - 20.35 „Spotkanie na lodzie” film krótkometr. prod. radz. (W)
 - 20.50 Teatr „Kobra” widow. sensac. pt. „Puziska soku pomarańczowego” (W)
 - 21.50 Ostatnie wiadomości (W)
 - 24. III. 61 — PIĄTEK
 - 18.00 Przed zjazdem architektów polskich (W)
 - 18.25 „Złodzieje” film TV z serii „Przygody sir Lancelota” (W)
 - 18.55 Wszelchnia TV z cyklu: „Historie z tej ziemi” program pt. „Zmysłu, zmysły”, (W) część I.
 - 19.30 Dziennik telewizyjny (W)
 - 19.00 „Dokumenty mówią prawdę” progr. public. (W)
 - 20.30 Teatr TV Łódzkiej „Romans” insc. TV wg Turianiewa (L) ogólnop. „Pietruszkow” w adaptacji i reżyserii J. Antezaka.
 - 21.40 Ostatnie wiadomości (W)
 - 25. III. 61 — SOBOTA
 - 11.00 Program szkolny — geografia. „Polscy podróżnicy”, (W)
 - 11.30 Przerwa
 - 17.05 Program tygodnia (W)
 - 17.25 Program tygodnia (L) lok.
 - 17.30 Telewizyjny kurs motorowy (W)
 - 17.50 Telekonkurs dla dzieci i młodzieży pt. „Na skrzyżowaniu” (W)
 - 19.20 Polska Kronika Filmowa (W)
 - 19.30 Dziennik telewizyjny (W)
 - 20.05 Program publicystyczny (W)
 - 20.35 „Kolsanka” film fab. prod. radzieckiej od lat 16 (W)
 - 22.05 Ostatnie wiadomości (W)
 - 22.20 Program rozrywkowy „Scenki historyczne” (W)
 - 26. III. 61 — NIEDZIELA
 - 5.55 „Dorosłym wstęp wzbroniony” program cyrkowy dla dzieci transmisja z Berlina
 - 11.00 Przerwa
 - 15.00 Niedzielną biesiada (W)
 - 16.30 P.K.F. (W)
 - 16.40 Program dla dzieci „W Wojtusowej izbie”
 - 17.10 „Pozornie niemożliwe” film z serii Disneyland.
 - 18.00 „Z metodą na ty” teletur-niej (W)
 - 18.00 Utwory wiofoncelowe w wyk. wirtuoz rumuńskiego Radu Adulescu (W)
 - 19.30 Dziennik telewizyjny (W)
 - 20.15 „W samo południe” film fab. prod. USA (W)
 - 21.55 Wiadomości sportowe (W)

Bieda z nędzą

„Życie literackie” z dnia 12 marca br. donosi: „Jak podaje „Odra” pewna wieś na Dolnym Śląsku za-instalowała już 90 telewizorów. Nazwa wsi — Nędza.



3 WYWIADY NA JEDEN TEMAT

P. JAN GIERANCZYK (księgarnia PEGAZ)

Hardzo szybko znika z półki znakomite wydanie „Fotografiki” Hartwiga. Również dużym powodzeniem, zwłaszcza u kobiet cieszy się już trzecie kolejne wydanie książki „Dag córka Kasi”. Z innych pozycji mogę wymienić „Życie Sadu” Farrell’a czy „Życie Aleksandra Fleminga”. Dla dzie-

ci lansujemy nowe śliczne wydanie bajek Andersena.

P. RYSZARD DYNARZEWski (księgarnia Naukowa i Medyczna)

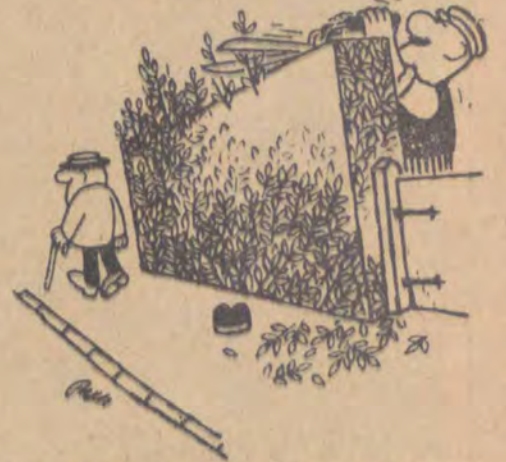
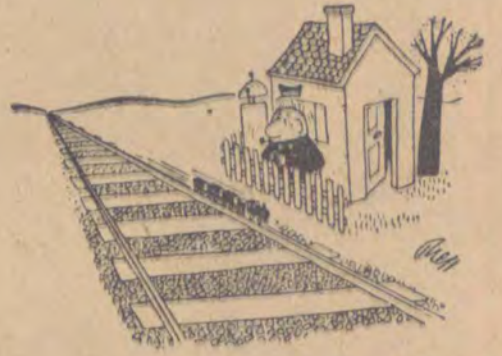
Z wydawnictw medycznych bardzo dużo sprzedajemy: Hermana „Diagnostyka chorób układu nerwowego”, Wilezkiego i Bukowczyka „Krótka diagnostyka psychiatryczna” NAGY’EGO „Anatomia rentgenowska”. Również dużym zainteresowaniem darzą Czytelnicy „500 zagadek geograficznych” Klimy i Tokarskiego oraz Kętrzyńskiego „Polska X i XI wieku”. P. KAZIMIERZ ANDRZEJ-

CZAK (księgarnia Muzyczna)

Z wydań książkowych jak zwykle nieoceniony L. Kydryński „Wiolin i basem” oraz „Znajomi z płyt”.

Z nagrań płytowych — ostatnie nagranie „Fantazja z bajki muzycznej „Śpiąca królewna” z Bogną Sokorską, Nikodemem i chórem Czejanda. Z muzyki tanecznej — „Złota seria przebojów nr 1, 2, 3, 4”. Nagrania najpopularniejszych przebojów od „Bajo-bongo” do „C’est si bon”. Z muzyki poważnej „Dzieła wszystkie” Chopina i utwory Paderewskiego. Rozmawiał L.U.W.

Najostrzejsze ołówki świata Hans Jurgen Press



Wśród karykaturzystów trafiają się wypadki ścisłej współpracy, wspólnego rysowania — że wymienić tu choćby przykład sławnej radzieckiej spółki Kukrynik-sów. Do wyjątków jednak należy, gdy grafik korzysta z pomocy osoby, która wcale rysować nie potrafi...

A tak właśnie powstają zabawne żarty, podpisane jednym nazwiskiem: Hans Jurgen Press. W istocie rzeczy rysownik z NRF jest tylko wykonawcą pomysłów... własnej żony. W mieszkanie Pressów w Hamburgu, dosłownie co krok — przy łóżku, w kuchni w łazience — leżą przygotowane kartki; na nich żona Pressa spisuje pomysły dowcipów. Potem zbiera notatki, segreguje, „księguje” — a mąż ma na każdą okazję gotowe koncepty.

Jako humorysta o zdecydowanie postępowych przekonaniach — Press utrzymuje bliski kontakt z pismami Niemiec Demokratycznych, a m. n. ze znanym i u nas tygodnikiem satyrycznym „Eulenspiegel”.

Małżeństwo Press nie ma specjalnie wygórowanych ambicji, wychodzi śmiało naprzeciw upodobaniom czy-

telników. Naszą parę autor-ską interesuje bardziej komizm sytuacji, a mniej indywidualność przedstawianych postaci; bohaterowie tych żartów są zawsze do siebie podobni, z kartoflanym nosem, zapożyczonym z maski kłownów cyrkowych...

(JERT)

informacje i zapiski

Łodzi przybyło ostatnio kilku aktorów estradowych w tych dniach bowiem zdali pomyślnie egzaminy przed komisją Ministerstwa Kultury i Sztuki — Musiał-Marewicz, Halicka, Mioduszewski i inni. © Naszych Czytelników gorąco zachęcamy do przeczytania interesującej książki Stanisława Czernika pt. „Trzy podróże”, będącej plonem pobytu pisarza w Chinach, Bułgarii i Albanii. © Tytuły „zasłużonego obywatela miasta Łodzi” nadać będzie wyróżniającym się w pracy społecznej łodzianom Komitet Łódzki Frontu Jedności Narodu. © Już za kilka dni otwarta zostanie wielka wystawa poświęcona Łodzi wczorajszej, dzisiejszej i jutrzejszej. © W ubiegłym tygodniu koncertowało w Łodzi słynne trio Wilkomirskich; był to jedyny w Polsce występ artystów przed wyjazdem na tournée po Francji. © W roku 1937 Łódź miała... dwa żłobki dziś na samych tylko Bałutach czynnych jest aż 13, a w całym mieście blisko setka. © Zdziwiliśmy się reakcją „Optymisty” z „Trybuny Ludu”, który zaatakował pożyteczną inicjatywę zmierzającą do poprawy zaopatrzenia Łodzi w artykuły przemysłu włókienniczego zapoczątkowaną przez redakcję „Dziennika Łódzkiego”. © Duże brawa należą się dyrekcji Łódzkiego Muzeum Sztuki za sprowadzenie do Łodzi rewelacyjnej wystawy holenderskiej pt. „Kim był Vincent van Gogh” uzupełnionej na dodatek barwną, krótkometrażówką. © Rzutki i energiczny Oddział Łódzki Polskiego Towarzystwa Fotograficznego organizuje (już drugi z kolei) błyskawiczny konkurs dla fotoamatorów; w ramach konkursu mieszczą się również bezpłatne wykłady na temat fotografii. © Dziwnego chwytu użyła „Nowa Kultura” publikując krytyczny list w sprawie młodej męzki łódzkiego czytelnika P. Jerzego M. — opubliko-

wala bowiem również absolutnie grafomański wiersz tego ostatniego co wymowę tego ataku czyni dość dwuznaczną. © W Łodzi powstała pierwsza w Polsce wypożyczalnia maszyn do pisania — autorem tego ciekawego i z pewnością potrzebnego przedsięwzięcia jest Spółdzielnia Pracy „Mechanik”.

(W.L.)

Z powodu tego samopowracia bohaterów prawiści „Kawowa Pula” przedstawimy ich czytelnikom w następnym numerze



ZAGADKA TYGODNIA

ZAGADKA LITERACKA
Prosimy imiona polskich pisarzy uzupełnić nazwiskiem.

- 1) Cyprian Kamil
- 2) Konstanty Hildefons
- 3) Artur Maria
- 4) Józef Ignacy
- 5) Stanisław Ignacy

Dруга część zagadki jest również niezbyt trudna. Trzeba mianowicie podać autora cytowanego fragmentu wiersza o Łodzi:

„Iskra przyniesie wieść ze stolicy.
Stana warsztaty manufaktur,
Pójdzie Piotrkowska tłum — robotnicy,
Ptaki czerwone fruńa do góry”.

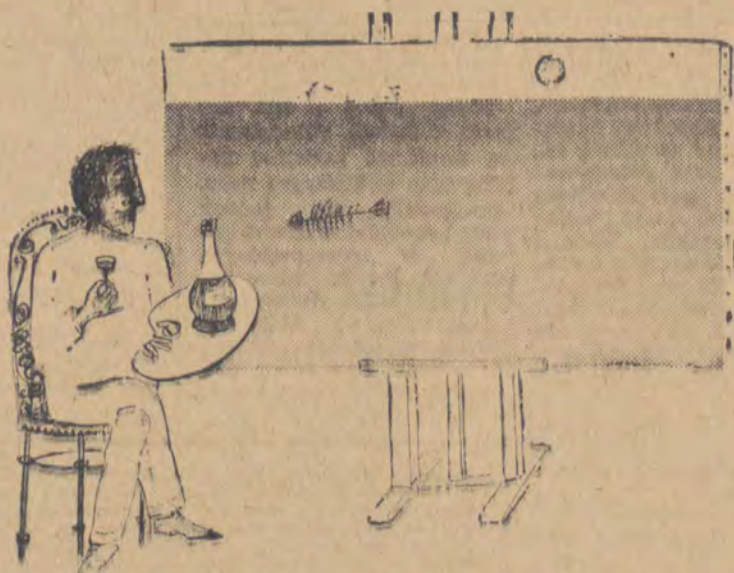
Rozwiązania wyłącznie na kartkach pocztowych prosimy nadsyłać w terminie tygodnia. Dla czytelników, którzy nadesłały trafne rozwiązanie przewidziane są nagrody książkowe.

TADEUSZ GIGIER

LIMERYK

czyś sta, form podoba czy to nie podoba
dłis w numerze drukuje Gigier lub Półka

Pewien smakosz, stryjeczny brat Zdzisia, nie uznawał z ciastek nic prócz ptysia. A dziś? On dziś wie, że ów ptys doprowadził go właśnie do hysia.



Rys. J. Grzegorzewski

ROZMOWY z czytelnikami

Od ukazania się w 6/54 n-rze naszego pisma artykułu J. Pokrowskiego o chuliganstwie do redakcji napływają listy od czytelników. Nasz czytelnik M. Poniec pisze:

„Sprawa przestępstw i chuliganstwa dorastającej młodzieży jest zjawiskiem b. poważnym, niepokojącym, blizyjnym na alarm i powinna zwerbować do walki z nią szerokie warstwy społeczeństwa jak i czynniki państwowe.

Gdy porównam chuliganów sprzed pierwej czy drugiej

wojny światowej z obecną naszą wykończoną młodzieżą, widzę zasadnicze różnice. Znany był starszemu pokoleniu słynny nożownik „Antek z Balut”. Tak, i przed wojną byli w Łodzi nożownicy, złodzieje, ale trzymali się oni na peryferiach miasta i byli związani z tymi peryferiami. Dziś to „chamskie pyski” jak pisze Pokrowski w nr 6/54 „Ogłosów” zalaję całą Łódź. Dziś wstepują oni wszędzie; w centrum, na Piotrkowskiej, niemal wszędzie kawiarnie są przez nich okupowane.

Dzisiejsza młodzież uważa, że wszystko jest dla nich. W może być, używać wulgarnych słów na Piotrkowskiej, zaczepić, kopnąć, rabować itp., bo jej nie będzie.

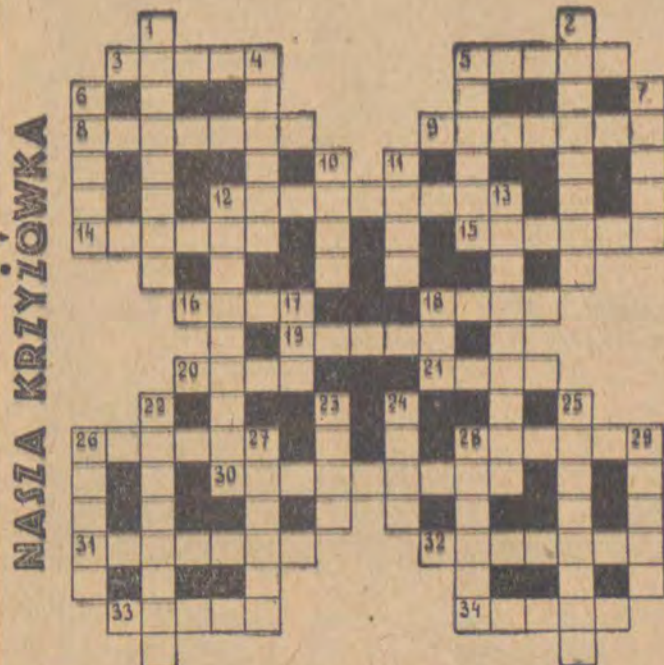
Turnieje mają czarne jak smoła, żucznych hamulców mo-

relnych, a obawa przed karą... powieszony otwarcie nie istnieje.

Zapewne wielu powie, że do zwalczania przestępczości powołana jest Milicja Obywatelska. Oczywiście, ale czy milicja jest w stanie sprostać zadaniu? Zwalczając, że milicja interweniując wczesna, gdy przestępstwo już popełniono.

Zrzadzka, jakby nieśmiało, na lamach takich czy innych pism wypowiedział się niektórzy za koniecznością stworzenia ebozów pracy. Uważam, że to jest właściwe wyjście z sytuacji i warto aby miodrodajne czynniki nad tym się zastanowily”.

Nie zupełnie solidarzujemy się z autorem listu. Czekamy na dalsze głosy w tej istotnej sprawie.



NASZA KRZYŻÓWKA

krzywa szabla, używana tylko dla parady, 2) Część twarzy, 4) Uzdziennica lub dawna jednostka wagi na Wschodzie, równa około 50 kg, 5) Tektura, 6) Symbol pokoju, 7) Kolor, 10) Złocze góry, 11) Falochron, 12) Układ składający się z setek miliardów gwiazd, zawierający gromady gwiazd, mgławice i rozproszona materia, 13) Przebieg harmoniczny, którego skutkiem jest zmiana tonacji, 17) Nuta, 18) Ptak, 23) odstęp, pauza, odległość między dźwiękami, 23) Drzewo liś ciaste, 34) Znak wysokości na mapie, 25) Koszule, przesłania radia, reczniki, chustki itp., 26) Droga, 27) Podpora architektury niana w kształcie posagu meż czyzny, 28) Śmiałość, mestwo, dzielność, 29) Ballada Adama Mickiewicza.

Termin nadsyłania rozwiązań — 2 tygodnie.

Rozwiązanie krzyżówki z n-ru 8.

POZIOMO — herbata, podium, Albin, okrąg, tekst, kręt, oset, sak, flet, walc, era, wikt, opas, aguti, ideal, poszum, tratwa, kantata.

PIONOWO — menu, styl, sobota, doktor, ikra, prestiż, delegat, sator, polowa, kurz, baza, Uran, ruta.

Nagrody książkowe za rozwiązanie krzyżówki wylosowali:

1. Bogdan Józefowicz, poczta Bardo, Ocieski, powiat Kielce.

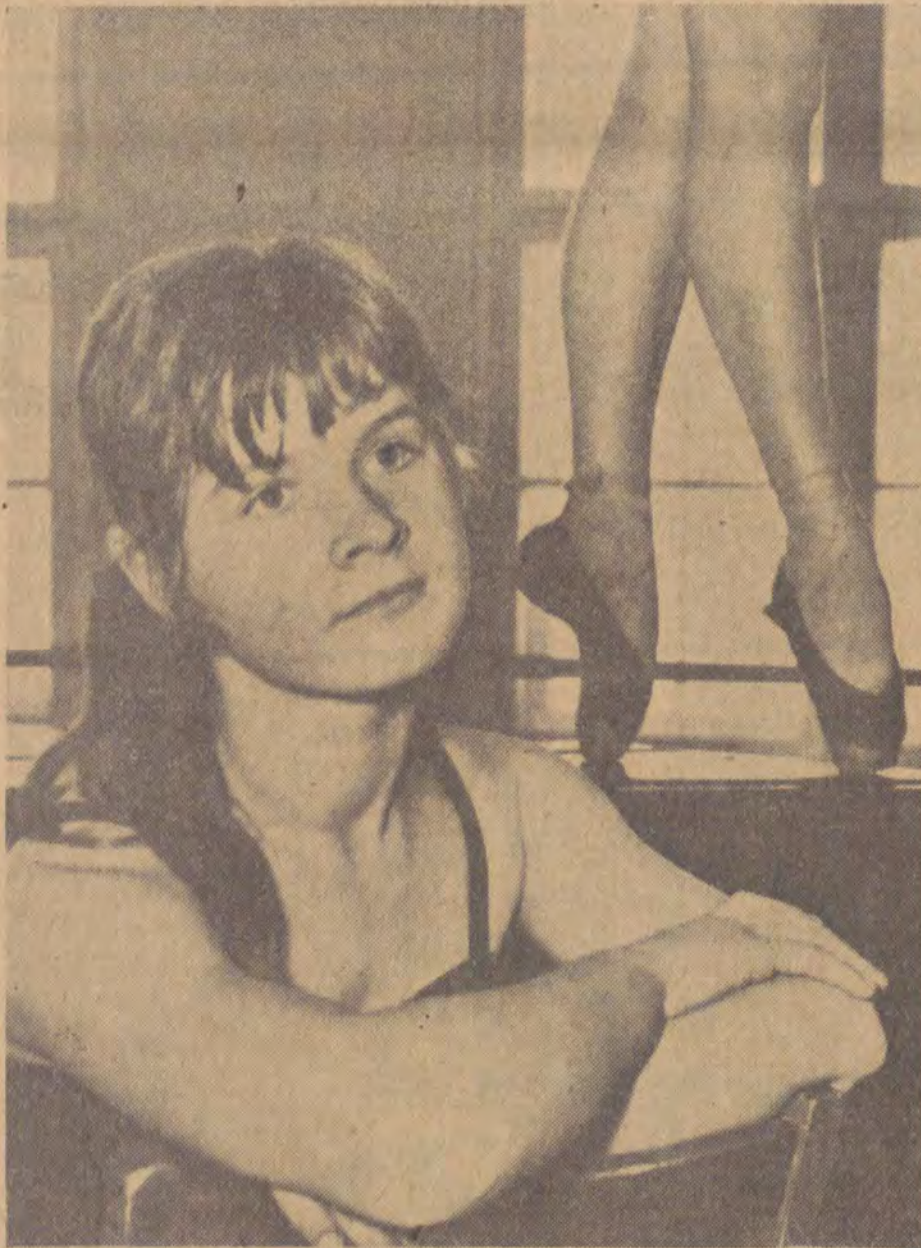
2. Zygmunt Michalski, Podlesie Śląskie, pow. Tychy, Punkt Apteczny I.

Znaczenie wyrazów:

POZIOMO — 1) Pamiętnikarz polski z XVII wieku, 5) Oskard, 8) Ogórzale lub grzbięt w Tatrach między Doliną Roztoki a Doliną Rybiego Potoku, 9) Opera Stanisława Moniuszki, 12) Smakosz, znawca wytwornego jedzenia, 14) Szeroka ulica w dużym mieście, wysadzona drzewami, 15) Krótki utwór literacki pisany prozą, 16) Planetka, 18) Pseudonim Aleksandra Głowackiego,

19) Tłuszcz, 20) Metal, 21) Gatunek lekkiej, przezroczystej tkaniny, 26) Biła szata bez rękawów, noszona przez starożytnych Rzymian, 28) Tatuś, 30) Hipotetyczny ląd, który istniał rzekomo między Afryką a Ameryką, 31) Kurcze, 32) Rodzaj przyziemia, 33) Zespół zawodowych tancerów i tancerzy, 34) Stolica państwa europejskiego.

PIONOWO — 1) Ozdobna



Fot. Jan Kopeć

Do naszych Korespondentów

Hasło „Piękne dziewczęta na lamy „Odgłosów“ wywołało istny polok przesyłek z fotografiami. Nadawcami listów z prośbą o zamieszczenie fotografii są częściej adoratorzy dziewcząt, rzadziej one same.

W związku z tym wyjaśniamy, że nie będziemy publikować zdjęć bez pisemnej zgody bezpośrednio zainteresowanych, to znaczy sfotografowanych modelek. Ponadto prosimy o przysyłanie zdjęć w formacie 12 x 18 cm (red.).

ODGŁOSY

tygodnia

ALL RIGHTS RESERVED
WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
COPYRIGHT BY ODGŁOSY

Złodzieje prądu

715 wypadków kradzieży prądu naliczono w roku 1960. Łupem złodziei padło 1.200 tys. kilowatogodzin energii elektrycznej. Stanowi to wartość 581 tys. złotych.

Kradzieże te są podobno zgola nieskomplikowane, za to bardzo dotkliwe w skutkach. Niezależnie bowiem od konieczności zapłacenia równowartości za skradziony prąd, każda z tych spraw trafia na wokandę sądu.

W 1960 r. za kradzież energii elektrycznej skazani zostali m. in.: Bronisław Sawicki, zam. przy ul. Czarnkowskiej 17 na 1 miesiąc aresztu i 400 zł grzywny (rachunek za skradziony prąd opiewał na 222 zł), Tadeusz Kopeć, zam. Dąbrowskiego 253 (rachunek na 254 zł) na 2 miesiące aresztu z zawieszeniem na 3 lata i 200 zł grzywny, oraz J. Wróblewska, Pabianicka 94, na 6 miesięcy aresztu, z zawieszeniem na 2 lata i 2 tysiące złotych grzywny (rachunek na 2.400 zł).

Cios w sutenerów

Organa MO, prokuratury dzielnicowe i sąd powiatowy w Łodzi wzięły się na dobre za sutenerów i stręczycieli do nierządu. W 1959 r. MO przekazała do sądu pow. 19 spraw o sutenerstwo i stręczycielstwo, granice wyroków sądu pow. wahały się od 6 miesięcy do roku więzienia. Nie było w tym czasie ani jednej kary grzywny. W 1960 r. MO przekazała do sądu pow. 28 takich spraw; granice wyroków sięgały od 8 do 18 miesięcy więzienia. Sygnęły się również na sutenerów i stręczycieli grzywny pieniężne.

„Sądówki“

Obok recydywistów, pieniaczy i ludzi, którzy z zamiataniem godnym lepszej sprawy szukają sensacji w procesach karnych — gmach łódzkich sądów przy placu Dąbrowskiego odwiedza jeszcze jedna kategoria „stałych“ gości. Są to kobiety wiadomej kondyty, które po trudach nocnych libacji tu właśnie szukają odpoczynku zalegając w nie dostojnych pozach dostojne ławki w ciepłych korytarzach dostojnego przybytku sprawiedliwości. Tu też odwiedzają je często — „opiekunowie“, tu również — zdarza się — w mniej dostojnych zakamarkach uraczyć się można zakupioną gdzieś obok butelką „czegoś rozgrzewającego“. Tanie, przytulnie i... bezpiecznie.

galeria sprytnych ujęć

JÓZEF KRAWCZYK (ur. 12 stycznia 1935 r.), który posiadając zawód elektrotechnika — „nie może znaleźć pracy“ i od września 1959 r. nie wywiązuje się z obowiązku świadczeń wobec swego nieślubnego dziecka;

BOLESŁAW SALECKI (ur. w 1918 r.), z zawodu wykwalifikowany ogładacz mięsa, od lutego 1960 r. przestał żyć na utrzymanie swej już prawie 17-letniej córki;

BRONISŁAW DWORACZYK (ur. w 1930 r.) z zawodu monter-hydraulik w ucieczce przed komornikiem, stojącym na straży interesu jego 5-letniego syna, kilkakrotnie zmienił miejsce pracy, a ostatnio — jak twierdzi — pozostaje na utrzymaniu 76-letniej matki — rencistki(!)

ZDZISŁAW NIEWOLA (ur. w r. 1934), któremu od kilku lat brak 100 zł miesięcznie na uregulowanie obowiązków alimentacyjnych, ale który w tym samym czasie był już 10-krotnie karany za... nadużycie alkoholu.

Z głupia frant

Na ostatnie ferie, zimowe uczniom klasy 'siódmej zadano w pewnej łódzkiej szkole 23 ćwiczenia ortograficzne. W innej szkole zobowiązano uczniów tej samej klasy do sporządzenia w czasie ferii życiorysów wszystkich postaci z „Pana Tadeusza“.

Właściwie ferie są dla nas, czy dla nauczycieli? — pytali z głupia frant uczniowie.

Co „idzie“ na raty?

Zgodnie z przyrzeczeniem, danym w poprzednim numerze, podamy strukturę zakupów na raty, dokonywanych za pośrednictwem agend ORS w Łodzi i województwie łódzkim. W roku 1960 najbardziej „szły“ na raty meble (27,6 proc., globalnej wartości transakcji), na drugim miejscu znajdowały się radia i telewizory (24,7 proc.) następna była odzież (19,8 proc.) i z kolei: motocykle i skutery (8,9 proc.), samochody (6,7 proc.), zegarki (4,8 proc.) futra (3,2 proc.), lodówki i pralki (3,1), sprzęt turystyczny i sportowy (0,15), artykuły fotograficzne (0,6 proc.), art. gospodarstwa domowego (0,3) i inne (0,8 procent).

Mniej więcej w tym samym układzie przedstawia się struktura zakupów ratalnych i w bieżącym roku. Odnotowuje się jednak wzrost średniej wartości zakupu w poszczególnych branżach. Jest to objaw pozytywny; jeżeli ludzie decydują się na wielomiesięczne zadłużenie, to nie dla nabycia byle czego, lecz przedmiotów cennych i cenniejszych spośród cennych.



AB ma wyższe wykształcenie, jest inżynierem mechanicznym. Może ten cenzus naukowy podyktował mu specyficzną taktykę w stosunku do żony. Kiedy wracał do domu w stanie podniecenia alkoholowego zamykał drzwi na klucz, spuszczał żaluzje, włączał radio na pełny regulator i przy akompaniamencie audycji znechęcał się nad żoną bijąc ją, dusząc itp. Mimo tak starannie zorganizowanej izolacji od otoczenia jej maltretowanej przedostawały się na zewnątrz (przerwy w audycji) i dzięki temu świadkowie mogli dać świadectwo prawdzie.

Cóż było przyczyną maltretowania żony? Ożenił się z nią, licząc, że będzie lekarzem. Niestety, nic nie zrobił, żeby pomóc jej w studiach. Poza tym jak zwykle u pijaków bywa, zarzucał jej niewierność, niegospodarność itp. Na wszelki wypadek nie dawał pieniędzy na utrzymanie żony i 3-letniego synka. Jednocześnie pisał do przyjaciółki:

„Nie wyobrażasz sobie jak się nakłopotalem nim znalazłem ten 6 numer. A kobiety to już chyba najwięcej miały ze mnie uciechy, gdyż ja jeszcze podobnych spraw nie załatwiałem. Ja robię przymiarke koszulki zgodnie z naszą umową“.

Na rozprawie sądowej — jak łatwo się domyśleć — nie przyznał się do winy. To żona go biła, a jeżeli jakieś ślady widniały na jej ciele (kilka obdukcji lekarskich), to widocznie dlatego, że... broniąc się, odpychał ją. Młody, dobrze zbudowany mężczyzna budził śmiertelny strach w żonie. W jej sytuacji niemożliwa była nawet samoobrona. Miał nad żoną kompletną przewagę fizyczną.

Rok i 6 miesięcy więzienia za znechęcanie się nad żoną uznała obrona za wyrok niesłuszny. Założono rewizję kwestionując kwalifikację przestępstwa (oskarżony z art. 23 ustawy antyalkoholowej). Poważny pracownik, cieszący się nieskazitelną opinią z miejsca pracy nie może być oderwany od poważnego warsztatu pracy...

Czy na pewno?

Sam! nie wiecie kogo posiadacie — można by rzec pod adresem chlebobawców pana inżyniera...

Redaguje Zespół ♦ Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka“ ♦ Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Tel. 244-79 ♦ Warunki prenumer.: miesięcznie zł 4,-, kwartalnie zł 12,- ♦ Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca ♦ Prenumerate przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch“ — z zaznaczeniem na „Odgłosy“ ♦ Druk: RSW „Prasa“ — Łódź, Zwirki 17 ♦ Zam. 816 III L-4